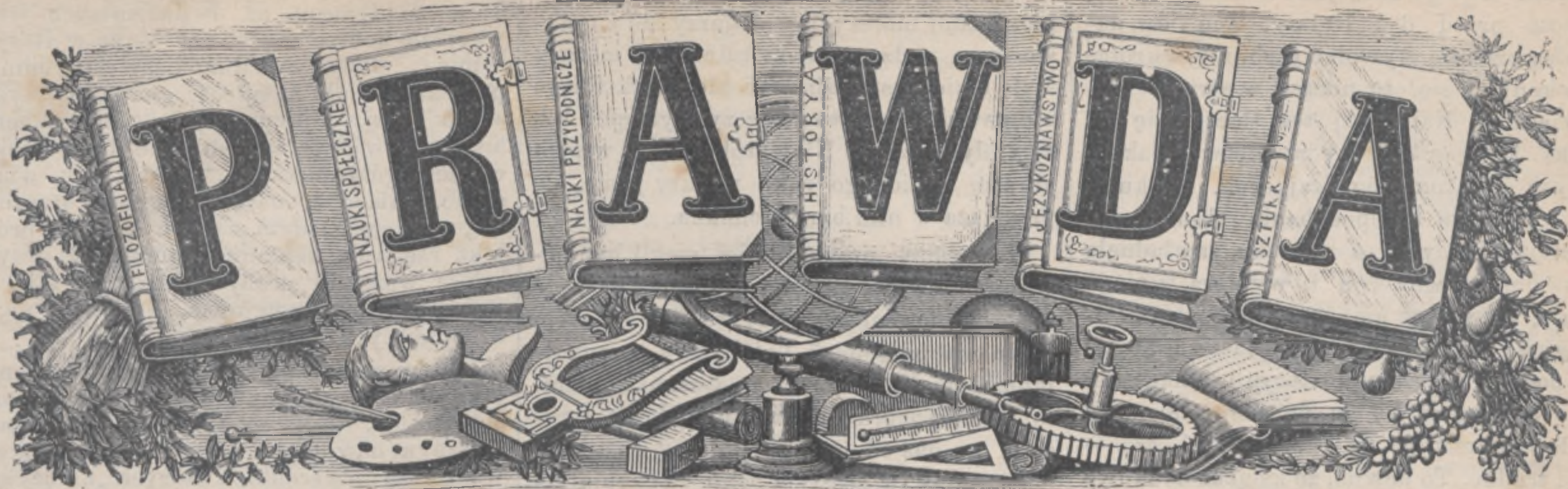
№ 52. Warszawa, dnia 26 (14) Grudnia 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

ZA I PRZED NAMI.

W ostatnim dziesiątku niewiele lat przeżyliśmy tak bezpłodnych, albo raczej tak płodnych w klęski i paraliże ogólnego ruchu, jak ubiegły. Rachunek jego zamykamy już nietylko z różnymi niedoborami, ale nawet bez nadziei wyrównania ich w bliskiej przyszłości. Każda gałąź produkcyi, każde pole pracy — skarży się na niemoc. Przemysł i handel w zastoju, rolnictwo w bankructwie, literatura w omdleniu, a na ciemnym widnokręgu nie świta najlżejszy brzask. Po części stan ten jest wynikiem ogólnego zdrętwienia rozwoju materyalnego i umysłowego w całej Europie. Stworzony przez Niemcy militaryzm, skazujący olbrzymią masę najzdrowszych ludzi na bezczynność i pasorzytnictwo, obciążający narody strasznym ciężarem opłat i niepokojący pracę groźbą wojny, uciska wszystkie stosunki i tamuje wszystkie postępy. Pompę podatkową budżet wojskowy zapuścił tak głęboko, że ona już niemal dosięgła dna zasobów ekonomicznych i ciągnie pot krwawy. Za to teraźniejszość błogosławi, a przyszłość wynagrodzi — niemców. Dopiero teraz widzimy — a może nawet dotąd w całym rozmiarze nie widzimy, jakiem to strasznem nieszczęściem dla Europy było zwycięstwo Prus nad Francyą. Od tej chwili padła na piersi świata dręcząca go zmora, wielki warsztat pracy ludzkiej zwolnił swój bieg dawniejszy, zaczęły w nim rwać się wiązania i łamać podpory.

To powszechne przesilenie musiało odbić się też w naszem życiu o tyle ostrzej, że do przyczyn ogólnych przybyły miejscowe. Za granicą skutki militaryzmu łagodzi przynajmniej do pewnego stopnia rozpętana z wielu ograniczeń wytwórczość narodów. Tam, gdy nawet jednostka dźwiga większy ciężar podatkowy, działa w lepszych warunkach społecznych, może więcej i prędzej produkować. Każdy świeży pomysł, każde przedsięwzięcie wciela się szybko i dlatego bardziej wyzyskuje swoje korzyści. Wiadomo np., że Austrya opodatkowała się niemiłosiernie, ale jeśli tam rolnika przygniatają różne opłaty i skutki współzawodnictwa, zarazem jest on w stanie (skutkiem doskonałych komunikacyj, rozgałęzionego kredytu, swobody osobistej itd.) nadać swym obrotom szybkie tempo, zużytkować natychmiast każdą dogodną chwilę a tym sposobem podołać walce o byt lub nawet zwyciężyć. Całkiem inne położenie naszego rolnika, pozbawionego dróg, pomocy kredytowej i innych warunków, umożliwiających działalność spieszną.

Przysłowie słusznie powiada, że biedy nie przychodzą pojedynczo, gdyż każda z nich ściąga w następstwach inne. Materyalne zubożenie kraju zniża ciągle i niebezpiecznie jego poziom moralny. Dla udowodnienia tej smutnej, czasami strasznej prawdy nie potrzeba już dziś ani świadectw statystycznych, ani argumentów życiowych, gdyż ją wszyscy widzimy zbliska i wyraźnie. Gnicie nie jest częściowe i chwilowe, ale rozpostarło się po całem społeczeństwie szerokiemi plamami. Warstwy narodu, w których dawniej pewne występki należały do objawów wyjątkowych, dziś brukają się nimi jak błotem powszednim. Każdy przyznać musiał, że tak zwana „szlachta" wiejska, obok swych wielu wad, była w zobowiązaniach uczciwą, nawet aż do przesady, aż do rycerskości. Dziś, chociaż jeszcze podtrzymywana w zdrowiu tradycyą obyczajową, zaczyna dopuszczać się czynów, które dawniej pozostawiała wyłącznie swym... bankierom małomiasteczkowym.

Dostrojony do całości życia naszego obraz przedstawia również literatura. Han-

del księgarski zmarniał i niczem nie przypomina tego gwaru, jaki w nim panował jeszcze przed 6 i 10 laty. Ten i ów nakładca próbuje wywołać ruch, ale wkrótce przekonywa się, że uderza w struny bezdźwięczne. Najwięcej też tłoczy się na półki księgarskie wydawnictw praktycznych i masom dogadzających. Spekulacya, polująca na upodobanie tłumu, pamiętająca jedynie o zarobku, zawładnęła rynkiem księgarskim i wypiera z niego prace, na wpływ umysłowy obliczone. Pamiętamy epoki, kiedy ogół nasz zajmował się poezyą, filozofią, historyą lub naukami przyrodniczemi; co go dziś zajmuje po za widowiskami, po za rozrywkami oczu — rzec trudno. To pewna, że książki naukowe i poezye ściągają więcej myszy, niż nabywców. Ze wszystkich klas społecznych wieje chłodna, mrożąca najgorętsze zapały obojętność, która nie budzi żadnych głębszych myśli, żadnych uczuć.

Doznaje tego wrażenia cała prasa. Długo taiła ona ubytek prenumeratorów, ale wreszcie przyznała fakt smutnego przełomu i w tej dziedzinie. Usiłowano go wytłomaczyć małą wartością pism, ale jest to czczy, polemiczny szczutek—nic więcej. Najbardziej poszkodowane nie były wcale lepsze w okresie swego powodzenia, niektóre podniosły się i rozwinęły znacznie, a mimo to utraciły popyt. Z wielu dowodów wybierzemy dla przykładu jeden. Przed laty sześciu lub ośmiu dzienniki nasze nie miały prawie wcale telegramów drutowych, a przynajmniej znaczna część tem mianem nazywanych depesz przychodziła pocztą. Obecnie gazety, z nielicznymi wyjątkami, posiadają doniesienia istotnie telegraficzne, a chociaż ten materyał dziennikarski najchętniej bywa zawsze spożywanym i chociaż wypadki bieżące powinnyby nieraz mocno zaciekawić uwagę ogólną, nie widzimy wcale, ażeby ta zmiana oddziałała na wzrost abonentów prasy politycznej,

W którąkolwiek tedy spojrzymy stronę, zewsząd występują ku nam złowrogie cienie. Zastój materyalny kojarzy się z umysłowym, nędza z niemoralnością, ciężary stałe z nieprzewidzianemi klęskami. Czego nie powali bieda, to zniszczy występek lub żywioły natury. Niewątpliwie, są w tym obrazie minionego roku punkty jasne, ale przeważa w nim barwa ciemna.

Gdybyśmy przynajmniej mogli być pewni, że świeżo zakończona karta naszego życia nie przeniesie swej treści w dalszym ciągu na następną? Gdybyśmy przynajmniej mogli wierzyć, że stosunki ekonomiczne się poprawią, ruch umysłowy wzrośnie, że nas od spokojnej pracy gwałt nie będzie, jak w zeszłym roku, wyganiał na cztery wiatry? Niestety, gdy wszystkie prawa moralne, rządzące światem, są pajęczyną, którą mocna ręka każdej chwili bezkarnie potarga, gdy ani sfałszowana religia, ani zwyrodniała moralność nie bronią już słabych, gdy Berlin jest Nazaretem nowego mesyasza, gdy stamtąd rozchodzą się apostołowie nowej ewangelii gwałtu, trudno nad wrotami nowego roku nie widzieć napisu Dantejskiego piekła. A jednakże nawet w tych warunkach trzeba mieć nadzieję, bo trzeba — żyć.

LOS ZASŁUŻONY.

Podczas ostatnich rozpraw w parlamencie niemieckim przedstawiciel stronnictwa wolnomyślnego, prof. Hänel wygłosił charakterystyczną skargę: „W obecnej chwili stwierdzić należy zwrot ogólny przeciw narodowości niemieckiej.“ Skargę tę w rozmaitych odmianach powtarza coraz częściej prasa niemiecka i trzeba przyznać, że chociaż nie ma prawa, ma powody żalić się i utyskiwać.

Mówimy nie ma, bo zaiste niemcy zbierają tylko plon własnego posiewu. Słusznie bardzo zauważył jeden z dzienników zagranicznych, iż, „pomijając wszelkie powody i przyczyny, pozostaje fakt faktem, że niemcom aż do dni naszych było wszędzie dobrze zagranicą“ i „że w Rosyi armia i służba cywilna liczyły ogromny procent żywiołu niemieckiego na najwyższych i najzyskowniejszych stanowiskach, a trzy prowincye nadbaltyckie były istnie ciepłem gniazdeczkiem.“ Dziś, jak wiadomo, gniazdko, usłane i ogrzane starannie, z dniem każdym stygnie a nowy projekt rządowy zamierza usunąć na przyszłość wszelkie próby zakładania takich stacyj aklimatyzacyjnych, nawet w najdrobniejszych rozmiarach.

Gdyby nawet ów ucisk wrzekomy, na jaki wciąż utyskują niemcy, urzeczywistnił się istotnie, to i wtedy byłby on tylko słusznym odwetem. Dotychczas wszakże wszystkie owe środki, o których „z ciężkim bólem serca“ mówi p. Hänel, noszą jedynie ochronny charakter i nie przekraczają granic t. z. „wzajemności międzynarodowej,“ lub też wymagań etyki państwowej, chociaż niema wątpliwości, że są one odpowiedzią na niemieckie wyzwanie.

Projekt rządowy, wniesiony już został do Rady państwa, gdzie zapewne ulegnie jeszcze pewnym zmianom. Z powodu tego prasa rosyjska z godną zaznaczenia jednomyślnością występuje z uwagami swemi, i jeżeli, o czem wątpić nie należy, najwyższa instytucya państwowa uwzględni ów „głos ludu,“ to oczekiwane uzupełnienia nie wypadną chyba na korzyść niemców.

Już przed paru miesiącami organ urzędowy wypowiedział zdanie, że Rosya nie użyje, usprawiedliwionego zresztą, odwetu, przyjmuje ona w dobrej wierze objaśnienia rządu niemieckiego i pozostawia mu wszelką swobodę działania, ale też, nie krępując się ubocznymi względami, przedsięweźmie wszelkie środki, jakie uzna za konieczne dla obrony interesów państwa i narodu rosyjskiego. Projekt zmiany przepisów o cudzoziemcach i reforma sądowa, szkolna i administracyjna w guberniach nadbaltyckich są właśnie spełnieniem tej zapowiedzi.

Nowe postanowienia nie mają istotnie znamion ucisku, są one raczej próbą tylko słusznej obrony interesów państwowych, zniesieniem lub ograniczeniem szkodliwego i niczem nieusprawiedliwionego przywileju.

BERTA

przez

Guy de Maupassanta.

Mój stary przyjaciel (miewa się niekiedy daleko starszych od siebie przyjaciół), doktór Bonnet często zapraszał mię do spędzenia u niego pewnego czasu w Riom. Nie znałem wcale Owernii i zdecydowałem się odwiedzić go około połowy lata r. 1876.

Przybyłem rannym pociągiem i pierwszą osobą, którą spostrzegłem na dworcu, był doktór. Ubrany był szaro, głowę pokrywał mu kapelusz czarny, okrągły, z miękkiego filcu, o szerokich skrzydłach; wierzch jego, bardzo wysoki zwężał się ku górze w kształcie rury kominowej — prawdziwy kapelusz owerniacki, trącący węglarzem. Tak odziany, doktór miał wygląd starego młodzieńca, z ciałem wysmukłem, na którem odbijała się jasna kamizelka i wielka głowa o białych włosach.

Pocałował mię z tą widoczną radością, jakiej doznają prowincyonaliści na widok przybywających przyjaciół, których dawno oczekiwali, a wyciągając rękę dokoła siebie, wykrzyknął, pełen dumy: „Oto Owernia!“ Widziałem tylko przed sobą szereg gór, których wierzchołki podobne do obciętych ostrokręgów, zapewne niegdyś były wulkanami.

Następnie podnosząc palec ku nazwisku stacyi, wypisanemu na froncie dworca, wymówił: „Riom,“ ojczyzna magistratury, jej duma, a winna być raczej ojczyzną lekarzy.

— Dlaczego?

Śmiejąc się odrzekł:

— Dlaczego? Odwróć ten wyraz a będziesz miał *mori—umrzeć*. Oto, młodzieńcze, dlaczego się osiedlił w tym kraju.

I zachwycony swym żartem pociągnął mię za sobą, pocierając sobie dłonie.

Z chwilą, w której połknąłem filiżankę kawy mlecznej, należało zwiedzić stary gród. Podziwiałem dom aptekarza i inne sławne domy, wszystkie czarne, ale ładne jak cacka z fasadami z rzeźbionego kamienia. Podziwiałem statuę Najświętszej Panny, opiekunki rzeźników i słyszałem nawet w tym przedmiocie opowiadanie o zabawnej przygodzie, którą opiszę kiedyindziej, poczem doktór Bonnet rzekł do mnie:

— Teraz proszę o pięć minut czasu dla odwiedzenia chorej, następnie zaprowadzę cię na wzgórze Chatel-Guyon i pokażę przed śniadaniem ogólny widok miasta i całego łańcucha Puy-de-Dôme. Możesz mnie oczekiwać na chodniku, wejdę tylko i natychmiast wrócę.

Opuścił mię przed jednym ze starych domów prowincyonalnych, ciemnych, zamkniętych, niemych, ponurych. Ten zwłaszcza wydawał mi się szczególniej złowrogim, a przyczynę tego odkryłem wkrótce. Wszystkie wielkie okna pierwszego piętra były do połowy zamknięte drewnianemi okiennicami. Tylko górna ich połowa otwierała się na zewnątrz, jak gdyby chciano zabronić ludziom zamkniętym w tej obszernej skrzyni kamiennej wyglądania na ulicę.

Gdy doktór zeszedł, podzieliłem się z nim mem spostrzeżeniem. Odpowiedział:

— Nie omyliłeś się. Biedna istota, trzymana tam, nie powinna nigdy wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz. Jestto waryatka, a raczej idyotka. Ah, posłuchaj: smutna to historya, a zarazem szczególny wypadek patologiczny. Chcesz, abym ci go opowiedział?

Zgodziłem się. Zaczął:

— Dwadzieścia lat teraz mija, właścicielom tego domu urodziło się dziecko, dziewczynka podobna do wszystkich innych. Spostrzegłem wkrótce, że chociaż ciało biednej istoty rozwijało się zadziwiająco, inteligencya była wciąż bezwładną. Zaczęła wcześnie bardzo chodzić, ale mówić stanowczo nie mogła. Sądziłem z początku, że była głuchą; zbadałem

Dziennik petersburski *Swiet* ilustruje cyframi niebezpieczeństwo, jakiem grozi państwu pokojowy najazd niemiecki. Nie wiemy, czy i o ile wszystkie cyfry podane przez tę gazetę zasługują na wiarę, część ich jednak zaczerpnięta ze źródeł urzędowych wątpliwości nie podlega. Według obliczeń prof. Stidy w Królestwie polskiem mieszka obecnie około 750,000 niemców, bądź to obcych, bądź rosyjskich poddanych, co wynosi około 10% całej ludności kraju (7,691,426). „Polska — powiada *Swiet* — stała się istotnie łupem niemieckim, a to dzięki gwałtownemu poparciu, okazywanemu kulturtregerom po roku 1863.“ Według danych urzędowych w r. 1880 przyjęło poddaństwo rosyjskie 900 niemców, w 1881—1,300, 1882—1,700, 1883—4,000, 1884—5,500 prusaków i 2,500 innych niemców. Ogółem w ciągu lat pięciu 15.900 niemców przyjęło poddaństwo rosyjskie, nie licząc ich żon i dzieci. „Oto najlepsze stwierdzenie osławionego *Drang nach Osten*, to już nie wymysł szowinistów, to są cyfry. Rozpatrzmy teraz dla przykładu, do jakich zajęć biorą się nowi obywatele rosyjscy. W r. 1883 zyskaliśmy 2,000 rolników, właścicieli ziemskich i dzierżawców, 1.400 rzemieślników, 330 oficyalistów kolejowych i 127 kapitalistów i obywateli ziemskich. W 1884 r. uszczęśliwiło nas 3,620 rolników, 3,000 rzemieślników, 1,500 urzędników kolejowych i 200 kapitalistów i właścicieli wielkich posiadłości ziemskich. Z cyfr powyższych, odnoszących się wyłącznie do Królestwa polskiego, uderza w oczy liczba niemców, wciskających się do służby na kolejach. Wszakże 1,830 ludzi—to ni mniej, ni więcej—tylko pułk cały.“ Autor w końcu dochodzi do takiego wniosku: „Szybkie a energiczne środki rządowe, skierowane w celu położenia tamy niemczeniu Polski są bezwarunkowo konieczne. Straszny błąd powinien być co najrychlej naprawiony.“

Zalew niemiecki obejmuje nietylko Królestwo, owszem rozpościera się coraz szerzej i na prowincye sąsiednie. W gub. Kowieńskiej w ciągu ostatnich lat dwudziestu liczba niemców wzrosła o 400% a w wołyńskiej już przed trzema laty było ich przeszło 100,000. Jeżeli dodamy, że ci „spokojni koloniści“ osiedlają się chętnie w miejscowościach, posiadających znaczenie strategiczne, że wszystkie ważniejsze przeprawy przez rzeki znajdują się w ich rękach, to zrozumiemy, że ci przybysze bardziej są niebezpieczniejsi aniżeli owi biedacy, którym rząd pruski zarzucić mógł jedynie „powikłanie wyznaniowych i narodowościowych stosunków.“

Prawodawstwo rosyjskie było aż nadto względnem dla cudzoziemców i dotychczas istniały w niem przepisy, które uważać można jako pozostałości tych czasów, kiedy państwo słabo zaludnione i opóźnione w rozwoju cywilizacyjnym ściągało chętnie obcych przybyszów. Koloniści z chwilą osiedlenia się korzystali nietylko ze wszystkich praw, służących ludności miejscowej, ale i z ulg i przywilejów specyalnych. Mogą oni bowiem tworzyć oddzielne gminy, utrzymywać szkoły z wykładem w języku rodowitym, itp. Słowem cudzoziemcy zajmowali stanowisko uprzywilejowane, był to dziwoląg, który oddawna już należało usunąć.

Ale nietylko te względy formalne przemawiały za ograniczeniem kolonizacyi niemieckiej, interesy państwa i narodu rosyjskiego wymagały położenia tamy temu podbojowi pokojowemu. W sprawie tej oddajemy głos *Kijewlaninowi*, którego nikt chyba o sprzyjanie „intrydze polskiej“ nie posądzi.

„Celem polityki pruskiej jest osłabienie żywiołu słowiańskiego lub zupełne jego zniemczenie. W tym wypadku cały ciężar kolosu niemieckiego spada na polaków, będących przednią strażą plemienia słowiańskiego na północno-zachodnich kresach, a raczej jego tylną strażą, gdyż Słowiańszczyzna od 1000 lat traci tutaj krok za krokiem swą ziemię.“ „Jeżeli dotąd nie przyszło do masowego starcia między ludnością słowiańską i niemiecką, to dla tego tylko, że Rosya oddzielona jest od niemców przez pokrewne sobie plemiona słowian zachodnich. Każdy krok w ich dziedzinach niemczyzny, przybliża tę ostatnię do granicy etnograficznych narodowości rosyjskiej, których naruszenie wcześniej lub później wywołać musi energiczny odpór.“

„Niegdyś dawały się słyszeć między nami zdania, na szczęście odosobnione, twierdzące, że dla Rosyi, z powodu odwiecznej i niezmiennej nieprzyjaźni ku nam polaków nietylko dobrem ale i korzystnem byłoby ich zniemczenie. Sądzę, że tak twierdzić mogą tylko krótkowidze polityczni, lub też ci, którzy mają jakąś myśl wsteczną, wręcz przeciwną interesom rosyjskim.“

„W jakiej formie ułożą się kiedyś ostatecznie stosunki pokojowe pod władzą rosyjską dwóch głównych narodów słowiańskich, czy długo będą one sobie wrogie, jaką będzie treść naszych sporów— tego powiedzieć nie możemy. Ale jedno wiemy na pewno, że wszystkie te zatargi są zatargami *domowymi*, w które nikomu obcemu mieszać się nie wolno. Ani poczucie rosyjskie, ani rachunek praktyczny rosyjski nie może pozwolić na to.“

„Oto dlaczego zajmują nas drobne fakty walki niemiecko-słowiańskiej, rozgrywającej się na naszym Zachodzie i Północo-Zachodzie. W tej chwili staraliśmy się tylko wyjaśnić położenie, dla tego żeby wykazać, iż nie będzie sprzeczności w tem, jeżeli społeczeństwo rosyjskie, oceniając jak należy stosunek polaków do Rosyi, stanie po ich stronie w ciężkiej walce z obcymi. Jest to punkt, na którem zbiegają się interesy praktyczne z uczuciem plemiennem. Na tym punkcie *i na tym jedynie punkcie*, zejść się winni niezgodni między sobą polacy i rosyanie.“

Wybraliśmy umyślnie głos *Kijewlanina*, ponieważ specyalnie nas dotyczy. Obiecuje on więcej nawet niż żądamy, bo pomoc i współczucie, kiedy nam chodzi tylko o równą broń w walce. Godną zaznaczenia wszakże jest ta okoliczność, że wszystkie organy rosyjskie najrozmaitszych odcieni zgadzają się na to, że najściu niemieckiemu należy wreszcie kres położyć. Oddawna już żaden projekt rządowy nie znalazł tak chętnego, tak jednomyślnego poparcia, co znaczy chyba, że odpowiada on istotnym potrzebom i słusznym życzeniom społeczeństwa. Nie my zapewne znajdziemy coś do powiedzenia przeciw niemu. Owszem poczucie krzywdy nam wyrządzonej świeżo i wspomnienie krzywd wiekowych domagają się chociażby takiego zadość uczynienia a interesy nasze najbliższe i najrdzenniejsze stoją tym razem w ścisłej zgodzie z uczuciem. To też kiedy cała prasa rosyjska wnosi ironiczny toast „za zdrowie nauczycieli swoich — niemców,“ my możemy tylko wesoło przyśpiewywać: *Tu l'as voulu, George Dandin, tu l'as voulu!*

P.

---

wszakże następnie, że słyszała wybornie, lecz nic nie rozumiała. Krzyk gwałtowny przyprawiał ją o drżenie, przerażał lecz nie zdawała sobie sprawy z jego przyczyn.

Rosła. Była śliczna i niema, niema z braku inteligencyi. Próbowałem wszystkich środków dla wprowadzenia do tej głowy myśli — daremnie. Zdawało mi się, że spostrzegam, iż poznaje swą karmicielkę; odstawiona od piersi, nie poznała swej matki. Nie zdołała nigdy wymówić tego słowa pierwszego, które wypowiadają dzieci, i ostatniego, które wydają z siebie żołnierze, padając na polu bitwy: „mamo!“ Usiłowała niekiedy bełkotać, kwilić, nic więcej.

Przy ładnej pogodzie śmiała się wciąż, wydając lekkie krzyki, które można było porównać do świegotania ptaka; gdy deszcz padał, płakała i jęczała smutno, przerażająco, na podobieństwo skargi psów, wyjących na śmierć.

Lubiła tarzać się po trawie jak młode zwierzątka i biedz jak szalona a co rano, gdy widziała słońce, zaglądające do jej pokoju, biła w dłonie. Gdy otwierano jej okno, klaskała rękami, poruszając się w swem łóżku, aby ją niezwłocznie ubrano.

Nie zdawała się zresztą wcale odróżniać ludzi, matkę od swej bony, ojca ode mnie, stangreta od kucharki.

Kochałem jej rodziców, tak nieszczęśliwych i prawie codzień przychodziłem ich odwiedzać. Obiadowałem także u nich często, co pozwoliło mi zauważyć, że Berta (tak ją nazwano) zdawała się rozpoznawać dania i przekładała jedne nad drugie.

Liczyła podówczas lat dwanaście. Kształty miała dziewczyny ośmnastoletniej a wzrostu większego była niż ja.

Przyszła mi tedy myśl rozwinięcia jej łakomstwa i spróbowania w ten sposób wprowadzenia odcieni do jej umysłu, zmuszenia jej, zapomocą rozróżniań smaku, przez gamę smaków — jeśli nie do rozumowania, to przynajmniej do rozróżniań instynktowych, któreby jednak stanowiły już rodzaj pracy materyalnej myśli.

Następnie, folgując jej namiętnościom i wybierając starannie te, które mogłyby nam być pożytecznemi, chcieliśmy wywołać rodzaj oddziałania ciała na umysł i pomału zwiększyć funkcyonowanie nieznaczne jej mózgu.

Umieściłem tedy pewnego dnia przed nią dwa talerze: jeden z zupą, drugi z kremem waniliowym, mocno ocukrzonym. Dałem jej po kolei skosztować jednego i drugiego, po czem zostawiłem jej swobodę wyboru. Zjadła talerz kremu.

W krótkim czasie wytworzyłem w niej łakomstwo, takie łakomstwo, że zdawało się, iż w głowie jej mieściła się jedynie myśl, a raczej żądza jedzenia. Rozpoznawała doskonale dania, wyciągała ręce do tych, które się jej podobały, i chwytała je z chciwością. Płakała, gdy jej odbierano.

Pomyślałem następnie, aby ją nauczyć wchodzenia do jadalni na odgłos dzwonka. Trwało to długo, jednakże doszedłem do celu. W jej nieokreślonem pojmowaniu ustanowił się niezawodnie związek między dźwiękiem i smakiem, stosunek między dwoma zmysłami, odwołanie się jednego do drugiego, a więc rodzaj kojarzenia się pojęć, jeśli pojęciem nazwać można ten gatunek instynktowego łącznika między dwiema funkcyami organicznemi.

Posunąłem jeszcze dalej moje doświadczenie i wyuczyłem ją — z jakim trudem! — rozpoznawać godzinę jedzenia na tarczy zegarowej.

Nie podobna mi było przez długi czas ściągnąć jej uwagi na wskazówki, lecz zdołałem ją zwrócić na bicie zegara. Środek, którego m użył, był prosty: wstrzymywałem zegar i wszyscy podnosili się, żeby pójść do stołu, gdy mosiężny młotek wybijał południe.

Naprózno natomiast siliłem się, aby ją wyuczyć liczenia uderzeń. Biegła ku drzwiom za każdym razem, gdy słyszała dzwonienie; ale wtedy, pomału, musiała sobie zdawać sprawę z tego, że nie każdy dzwonek miał jednakową wartość ze względu na jedzenie; i oko jej, kierowane uchem, zatrzymywało się często na zegarze.

NOWE PAŃSTWO.

Przemysł w czasach naszych takie zajął stanowisko, że, mówiąc o czemkolwiek, zwłaszcza zaś o polityce, wyrażać się można językiem przemysłowym. Użyję możności tej dla wskazania faktu, który się nie stał, ale którego potrzeba czuć się daje i, gdyby jej zadośćuczyniono, w razie takim nastąpiłoby pewne bardzo poważne niezadowolnienie. Fakt ów dotyczy dwóch państw, państewek raczej, przez politykę rozdzielonych a przez położenie swoje geograficzne i interesy warsztatowe ciągnionych do połączenia kapitałów swoich i stowarzyszenia ich. W odosobnieniu znaczą one nie wiele i służą jeno za przedmiot apetytu kapitalisty grubego, co na nie zęby ostrzy i sumienie za niedorzeczność uważa. Państewkami temi są: Holandya i Belgia: natura je złączyła—polityka rozdzieliła.

Ks. Bismark często mapie przypatrywać się musi. Wyobrażam sobie, jakiem to on okiem spogląda na ów trójkącik, całą jedną stroną do Niemiec przylegający i zajmujący położenie pod względem handlowym, politycznym i strategicznym ważne. Belgia i Holandya oskrzydlają Francyę, posiadają wybrzeża morskie, przystanie, porty i ujście Renu — Renu! *den freien deutschen Rhein!* togo Renu, co w każdem sercu niemieckiem budzi rozrzewnienie patryotyczne. Ujście Renu i jacyś tam Holendrzy? Czy to nie obraża Boga?... Na myśl tę krwawić się chyba musi najpatryotyczniejsze z patryotycznych serc wielkiego męża stanu.

Stowarzyszenie się Holandyi i Belgii, niepostawione urzędowo, jako kwestya, stanęła jako taka samo przez się i jest od czasu pewnego — od lat dwudziestu paru — wyrazem, którego wymówienie nie wywołuje protestu z ust ani holendra, ani belga. Belgowie nawet posuwają swą zgodę do tego stopnia, że przyznają, iż, odrywając się w r. 1830 od Holandyi, popełnili nieroztropność. Spostrzegli to, gdy stanęło cesarstwo francuskie. Spostrzeżenie to w potęgę wzrosło od chwili, kiedy patryotyzm niesentymentalny niemiecki łokciem swoim swobodę ruchów zapewnił. Zmienił się nieco stosunek. Przez cesarstwo francuskie zagrożoną była najprzód Belgia, następnie Holandya; przez cesarstwo niemieckie zagrożoną jest najprzód Holandya, następnie Belgia. „Ten sam sztuk, tylko na inszy manier.“ Belgię broni wprawdzie traktatem zaręczona neutralność, której ona tak dalece ufa, że wzorem mocarstw najpotężniejszych rujnuje się na potęgowanie siły zbrojnej. Toż samo czyni nieznoutralizowana Holandya. Dwie te siły w odosobnieniu mogą się jeszcze zdobyć na to, na co się zdobyła Dania w r. 1864; w stowarzyszeniu stanowią siłę poważną. Pogląd taki wzmagał się do czasu (30 maja 1885), w którym, nagle i niespodzianie, przyrosło do Belgii państwo afrykańskie i król belgów został królem kongoanów. Uwaga belgów zwróciła się w stronę przyrostu, uświęconego z góry uroczyście w Berlinie (26 lutego 1885). Ale czy się od nich odwróciła uwaga Berlina? Czy nie wyprawiono ich do Kongo w widokach mniej więcej takich, w jakich Helena wyprawiała Menelausa na Kretę? Zapytania te zupełnie są właściwemi obecnie, kiedy sprawom politycznym w Europie przewodniczy mąż, co się o traktaty troszczy, jak o śnieg przeszłoroczny, i co się ugryźć dał szatanowi kolonizacyjnemu, ukazującemu ze szczytu berlińskiego kolonie stare holenderskie i kolonię świeżutką belgijską, tak do niego przemawiając: „Wszystko to będzie twojem, jeżeli mi się pokłonisz i zabierzesz najprzód Holandyę, następnie Belgię.“ Mąż ów, jak ze wszystkiego, co czyni, wnioskować należy, szatanowi się już pokłonił: pozostaje mu przeto do dokonania—nie wiele, zwłaszcza że w Holandyi dynastya gaśnie, co zresztą jest rzeczą podrzędną, albowiem w Hannowerze dynastya nie gaśnie, mimo to...

Nie o to jednak chodzi. Wykazaliśmy powyżej istotne, a z po za kulis wyglądające znaczenie sankcyi, udzielonej Belgii w Berlinie na Kongo—na nowo stworzone państwo, będące nie czem innem, jak gruszką, hodowaną na to, ażeby nie dziś to jutro spadła do zagrody cesarstwa niemieckiego. Czy spadnie?—to inne pytanie. Bywa i tak, że najpiękniejsze zamiary ludzkie nie spełniają się. „Chłop strzela, Bóg kule nosi.“ Stać się więc bardzo może, że wielki ten i mądrze obmyślony zamiar spełznie na niczem. Gdyby atoli nie spełzł, niemcy uzyskałyby nabytek, do którego warto iść chociażby przebojem. Kongo — należy poznać; żeby zaś poznać, nie koniecznie potrzeba fatygować się aż pod ósmy stopień szerokości południowej, do ujścia rzeki, nadającej nazwę krainie, której rozległość ma się do rozległości Belgii, jak rozmiary słonia do rozmiarów myszy. Poznać ją można z książek. Do Kongo, na które uwaga europejska zwróciła się szczególnie od r. 1878, odnosi się już spory bagaż literacki. Pisali o niem autorowie różni; najdokładniejsze atoli o krainie tej pojęcie powziąść można z wydawnictw Instytutu narodowego geografii (*Institut national de geographie*), istniejącego w Brukseli, który Afryką środkową specyalnie w czasach ostatnich się zajął, Instytut ów wydaje Bibliotekę geograficzną (*Bibliotheque géographique*). Do składu jej weszły: praca Wauwermansa, prezydenta Towarzystwa gieogr. antwerpskiego: *Liberia*, a także pana A. J. Wanters, redaktora naczelnego „Ruchu gieograficznego,“: *Kongo z punktu ekonomicznego*. Praca pułkownika Wauw. jest historyą założenia i rozwoju państwa nie podległego murzyńskiego, ukonstytuowanego na wzór i podobieństwo Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, trzymającego się, jeżeli nie nader świetnie, to, bądź co bądź, zadowalniająco i posiadającego, zdaniem autora, warunki ucywilizowania Afryki środkowej. „Z państewka tego wielkości Belgii, którego ludność nie przechodzi piątej części zaludnienia kraju naszego, wyjdą może kiedyś najlepsi, jakich sobie wyobrazić można, misyonarze dla udzielenia czarnym dobrodziejstw cywilizacyjnych i założenia *Stanów Zjednoczonych wolnych afrykańskich*, dosyć potężnych do stawienia czoła chciwości białych i zaprowadzenia sprawiedliwości, o ile ona śród ludzi panować może.“ Słowa te dają do poznania, że czarni obejść by się mogli bez „dobrodziejstw,“ jakie im biali nieść zamierzają i dla tego przebrzmią, jako głos wołającego na puszczy. Należy je zapisać jednak. Notujemy i zaznaczamy pracę pana A. J. Wantersa, który zamierzonych „dobrodziejstw“ białych pod nóż analizy nie biorąc, opowiada o ekonomicznych przyrostu belgijskiego warunkach. Przedewszystkiem dowiadujemy się od niego o kształcie Kongo. Wedle tego, co on mówi i wedle tego, jak się państwo nowe na mapie przedstawia, trafnem jest użyte przez nas wyżej porównanie Konga do

---

Spostrzegłszy to, codziennie w południe i o szóstej stawiałem mój palec na dwunastce i szóstce, skoro tylko nadchodziła oczekiwana przez nią chwila. I przekonałem się wkrótce, że uważnie śledziła posuwanie się wskazówek, które często obracałem w jej obecności.

Zrozumiała—powinienem raczej powiedzieć: pochwyciła. Zdołałem wprowadzić w nią świadomość, albo lepiej poczucie godziny sposobem, jakim uczymy świadomości karpie, które nie potrzebują zegarów, gdy im dajemy jeść codziennie, o jednej i tej samej godzinie.

Gdy doszła do tego rezultatu, wszystkie instrumenty zegarmistrzowskie, istniejące w domu, zajęły jej uwagę wyłącznie. Spędzała czas na oglądaniu ich, wsłuchiwaniu się w nie, wyczekiwaniu godzin. Zaszedł nawet wypadek zabawny. Spostrzegła, że mechanizm dzwonkowy ładnego zegaru w stylu Ludwika XVI, zawieszonego nad głowami jej łóżka, uległ zepsuciu. Od dwudziestu minut, z okiem na wskazówce, oczekiwała wybicia dziesiątej. Lecz gdy wskazówka przeszła przez cyfrę, idyotka osłupiała, nic usłyszawszy nic, osłupiała do tego stopnia, że usiadła, doznawszy zapewne jednego z tych wzruszeń gwałtownych, które wstrząsają nami wobec wielkich katastrof. I miała dziwną cierpliwość stania przed mechanizmem aż do jedenastej, żeby się przekonać co zajdzie. Naturalnie, znowu nic nie słyszała; wtedy, czy szalenie rozgniewana zawodem, czy przestraszona okropną tajemnicą, czy rozwścieklona niecierpliwością istoty namiętnej, która trafiła na przeszkodę, schwyciła szczypce z komina i uderzyła niemi w zegar z taką siłą, że w sekundę strzaskała go na kawałki.

A więc mózg jej działał, liczył, w sposób ciemny wprawdzie i w zakresie bardzo ścieśnionym, albowiem nie mogłem nauczyć jej rozpoznawania osób tak, jak rozróżniała godziny. Dla wywołania w niej poruszenia umysłu potrzeba było odwołać się do jej namiętności, w materyalnem znaczeniu tego wyrazu.

Mieliśmy tego wkrótce inny dowód, niestety, straszny.

Stała się cudowną; był to rzeczywiście typ rasy, rodzaj Wenus pięknej i głupiej.

Miała teraz lat szesnaście. Rzadko widziałem podobną doskonałość kształtów, podobną gibkość i regularność rysów. Rzekłem: Wenus, tak, Wenus: blondyna, tłusta, silna, o wielkich jasnych oczach, błękitnych jak bławatki, i ustach szerokich z wargami zaokrąglonemi, ustach łakomych, zmysłowych, ustach do pocałunków.

Otóż, pewnego poranku jej ojciec wszedł do mnie z dziwnym wyrazem twarzy, a usiadłszy, nie odpowiedział nawet na moje „dzień dobry.“

— Chcę pomówić z panem — rzekł — o sprawie dość ważnej... Czy... czy możnaby wydać Bertę za mąż?

Ze zdziwienia podskoczywszy, zawołałem:

— Wydać za mąż Bertę?... Ależ to niepodobna!

Podjął na nowo:

— Tak... wiem... ale pomyśl... doktorze... oto... być może... spodziewaliśmy się... gdyby miała dzieci... byłoby to dla niej wielkiem wstrząśnieniem, wielkiem szczęściem i... kto wie, czy jej umysł nie zbudziłby się pod wpływem macierzyństwa...

Nie wiedziałem co z sobą począć. Było to słuszne. Być mogło, iż rzecz tak nowa, że ten cudowny instynkt matek, pojawiający się w sercu zwierząt równie jak w sercu kobiet, popychający kwokę do rzucenia się przed paszczę psa w obronie swych piskląt, wywoła rewolucyę, przewrót w tej głowie bezwładnej i wprawi w bieg nieruchomy mechanizm jej myśli.

Przypomniałem sobie zresztą zaraz przykład osobisty. Posiadałem przed kilku laty małą wyżlicę, tak głupią, że żadnej z niej nie miałem korzyści. Urodziła dzieci i stała się nazajutrz nie inteligentną, lecz prawie podobną do wielu psów nie bardzo rozwiniętych.

Zaledwie dostrzegłem tę możliwość, gdy chęć wydania za mąż Berty rosła we mnie,

gruszki. Jak gruszka posiada ono szyjkę i brzuszek. Szyjką, której rozległość równa się Belgii całej, przytyka u ujścia rzeki do morza i następnie, idąc od zachodu ku wschodowi, rozdyma się do rozmiarów omal nie takich, jak ćwierć Europy. Ukształtowanie takie państwa nowego przyjąć należało ze względu na ścieśniające dostęp do wnętrza lądu afrykańskiego posiadłości nadbrzeżne portugalskie i francuskie. Rozszerzenie zaczyna się po za posiadłościami temi i obejmuje nie co innego, jak porzecze Kongo. Nie jest to bagatela: wszerz stopni 18, wzdłuż 16, z możnością pomykania granic na wsze strony w kraju, który, wedle jednogłośnego świadectwa podróżników, pp. Burton, Speke, Cameron, Stanley, Wissman, Pogge, Comber, Buchner, de Mechow, Serpa Pinto, du Chaillu, de Brazza i agentów Hanssens, Combier, Van der Velde, Burns i in., posiada wszystkie przymioty kraju, potomstwu Abrahama obiecanego. „Płaskowzgórze wewnętrzne Afryki — powiada p. A. J. W.—jest to kraina cudna, grunt żyzny, przecina ją w rozciągłości całej rzek olbrzymich kilka i rzeczek bez liku, przepływających przez lasy obszerne a tworzących doliny przepiękne, zamieszkałe przez ludność w liczbie znacznej.“ Liwingstone, którego wiarogodność powszechne uzyskała uznanie, z wielkiemi o krainie tej mówi pochwałami. Cyfra ludności podawaną jest w przybliżeniu jeno, z powodu niemożności obrachowania dokładnego. Zdaniem Stanleya, gdyby porzecze Kongo tak było zaludnionem, jak wybrzeże jeziora Matumba (po 55 mieszk. na milę kw.), mieściłoby 49,000,000 głów. Że jednak tak zaludnionem nie jest, ileż to pozostaje miejsca—dla niemców!... Klimat nawet nie jest bardzo odstręczającym: temperatura przeciętna w ciągu roku wynosi + 24°C— najwyższa + 36, najniższa + 12, a zatem nie przechodzi tej, jaka panuje w lipcu na ulicach Brukseli i tej (+ 37), jaka się zdarza na ulicach Kairu. Jedyną przeszkodą poważną, stanowi febra, na którą autor środki zaradcze przewiduje w przyszłości pod postacią uprawy roli, skanalizowania trzęsawisk, okrycia kraju siecią dróg żelaznych, budowania mieszkań wygodnych i urządzenia życia hygienicznie. Zanim to atoli nastąpi, bezpieczniej, zamiast w krainie tej zazwrotnikowej szczęścia szukać, nad Wisłą mieszkać i o Kongo czytać.

Kto by chciał o niem naczytać się do woli, temu polecić śmiem przez Stanleya po angielsku napisane, na język francuski przełożone i przez Instytut gieograficzny wydane dzieło wspaniałe p. t. *Cinq années au Congo.* Trudno chyba o wspanialszą pod względem typograficznym książkę. Patrząc na nią, człowiek się w duchu z przekąsem uśmiecha, wiedząc bowiem o co chodzi, w przepychu tym widzi nie co innego, jak starannie oszlifowaną i w ilustracye świetne przyozdobioną, a pod adresem śmiertelników, skłonnych do szukania za morzami szczęścia, sporządzoną reklamę. W pracy tej Kongo przedstawia się jako Eldorado, same bowiem wizerunki tuziemców nie są tak dalece, jak w zwyczajnych sprawozdaniach podróżniczych, rażące. Wyglądają po ludzku. Możnaby ostatecznie z nimi żyć, i w związki rodzinne wchodzić. Z pracy Henryka M. Stanleya bije wołanie takie: „O wy, którym życie dolega, którym w kraju rodzinnym ciasno, którzy się poczuwacie do praw używania, a nie macie skąd, spieszcie do Kongo, znajdziecie tam wszystko, na czem wam w ojczyźnie brak, a bangalanka lub bayanzianka buziaka da!“ Bayanzianki i bangalanki nie wyglądają wprawdzie tak, jak „anioły ziemskie“ Heinego, nie są wszelako nadzwyczajnie szpetne. Może w naturze inny mają pozór, aniżeli na kartach książki założyciela królestwa nowego. W czem atoli upiększenia podejrzewać nie można, to w rysunkach narzędzi, któremi się w życiu codziennem tuziemcy posługują, ich odzieży, strojów, oręży, wreszcie krajobrazów, zdejmowanych przy pomocy fotografii, a więc wiernych. Te ostatnie odsłaniają obraz jakiś czarodziejski, dziwnie piękny. Dodać pospieszam, że po za tem, co reklamą trąci, książka zawiera w sobie dużo ciekawych, wiedzą wzbogacających objaśnień. Do książki przyłączone są, zaszczyt Instytutowi gieograficznemu świetnem wykonaniem czyniące, mapy. Z informacyj tych i nauka korzyść odnieść może. Wykazują one pierwobyt ludzkości—ową mniej więcej epokę, która upłynęła pomiędzy spożyciem przez Ewę jabłka a budowaniem wieży Babel, a może późniejszą, tę co nastała bezpośrednio po mieszkaniu prarodziców naszych w jaskiniach i odpowiada zawiązkowi pierwotnemu społeczeństw.

Rzeczą jest wątpliwą, czy praca ta, ubrana w jaknajponętniejsze szaty salonowe, wielką odda Belgii przysługę. Informacye trafią do Belgów; trafią jednak i do kogoś jeszcze, rozbudzając i zaostrzając apetyty, co się nam tak dotkliwie we znaki dają. Oby losy od następstw smutnych apetytów onych uchroniły nietylko belgów, ale także bakongoanów, bayanyanów, anyemanów i wszystkich wogóle czarnych, co się nie zetknęli jeszcze ze spółziomkami wielkiego męża stanu! Czarnym, zdaje się, byłoby najdogodniej nie stykać się z białymi zgoła. Jest to już jednak rzecz dokonana. „Co się stało...“ Kongowie zostali poddanymi króla Leopolda i—w cień usunęli stowarzyszenie się ku obronie spólnej Belgii z Holandyą. Przemysłowość jednego z kapitalistów błędną poszła drogą: zamiast wejść do spółki, zwróciła się na drogę spółzawodnictwa. Czy nią zajdzie daleko?

T. T. Jeż.

WIEC ROLNIKÓW WE LWOWIE.

Ziemianie galicyjscy gwałtem zaczęli szukać lekarstwa na biedę. Zbliżała się ona już od długiego czasu a nawet gdzie-niegdzie podgryzała zwolna, zwłaszcza słabszych. Dopóki jednak towarzystwa kredytowe ziemskie i banki hipoteczne udzielały pożyczek a pszenica stała w cenie, odkładano troskę o jutro z dnia na dzień i cieszono się starem: jakoś to będzie! Naraz grom uderza z jasnego nieba. Pszenica jest, a tu nikt jej kupować nie chce, banki i towarzystwa upominają się o raty, podatki trzeba płacić, dzieci posyłać do szkół itd. Miesiąc za miesiącem mija, nie przynosząc żadnej pociechy — wszystkie środki się wyczerpują a z głębi wysuwa się coraz widoczniej groźna postać, na której czole jeden wyraz straszny, zabójczy: ruina.

Teraz dopiero budzą się panowie bracia i poznają, że stoją tuż nad brzegiem przepaści. Naraz więc rozwijają gorączkową czynność, ażeby wyjść z tego rozpaczliwego położenia. Po całym kraju odbywają narady, zwołują zjazdy, uchwalają wnioski i prośby. W ostatnich czasach tylko kolejno po sobie nastąpiły (wymieniam wa-

---

nie tyle przez przyjaźń dla niej i biednych jej rodziców jak przez ciekawość naukową. Co też nastąpi? Szczególna zagadka!

Odpowiedziałem tedy ojcu:

— Być może, masz pan racyę... trzeba spróbować... Spróbuj pan... lecz... lecz... nie znajdziesz nigdy mężczyzny, któryby się na to zgodził.

Wymówił półgłosem:

— Mam takiego.

Osłupiałem i wybąkałem:

— Kogoś przyzwoitego?... kogoś z... pańskiego towarzystwa?...

Odpowiedział:

— Tak... istotnie.

— Ah! A... czyż mogę zapytać pana o jego nazwisko?

— Przyszedłem właśnie dla poradzenia się pana. Jest nim pan Gaston du Boys de Lucelles!

O mało nie krzyknąłem: nędznik! — ale zamilkłem i po pewnej przerwie wysylabizowałem:

— Tak, bardzo dobrze. Nie widzę nic nieodpowiedniego.

Biedny człowiek uścisnął mi ręce:

— Wydamy ją za mąż w przyszłym miesiącu — rzekł.

P. Gaston du Boys de Lucelles był to hultaj z dobrej rodziny, który zjadłszy spadek ojcowski i narobiwszy długów, przez tysiączne mniej delikatne sposoby szukał nowego, jakiegokolwiek środka dla zdobycia sobie pieniędzy.

Nasunął mu się ten.

Ładny chłopak zresztą, zdrów, ale hulaka, z wstrętnego rodzaju hulaków prowincyonalnych wydawał mi się mężem odpowiednim, któregoby się następnie można było pozbyć, zapewniwszy mu utrzymanie.

Wszedł do domu dla rozpoczęcia zalotów do tej pięknej dziewczyny-idyotki, która zresztą prawdopodobnie podobała mu się. Przynosił kwiaty, całował jej ręce, siadał u jej nóg i spoglądał na nią czułemi oczami; ale ona nie zwracała uwagi na żadną z jego uprzejmości i nie odróżniała go ani trochę od innych osób, które ją otaczały.

Małżeństwo odbyło się.

Pojmujesz, do jakiego stopnia podniecona była moja ciekawość.

Poszedłem nazajutrz zobaczyć Bertę, wyczytać z jej twarzy, czy cokolwiek ją wstrząsnęło. Ale znalazłem ją taką samą, jak codzień, wyłącznie zajętą zegarem i obiadem. On, przeciwnie, wydawał się mocno zakochanym i starał się podniecać wesołość i przywiązanie swej żony przez drobne zabawy i drażnienie, używane z młodemi kotkami.

Nic wymyślił nic lepszego.

Zacząłem często odwiedzać młodych małżonków i przekonałem się wkrótce, że młoda kobieta poznawała swego męża i spoglądała na niego wzrokiem pożądliwym, który miała dotąd jedynie dla dań cukrowych.

Śledziła jego ruchy, poznawała jego kroki na wschodach lub w pokojach sąsiednich, biła w dłonie, gdy wchodził, a twarz jej zmienioną oświecał płomień szczęścia głębokiego.

Kochała go całem ciałem, całą duszą swoją, całą swą biedną, chorą, bezsilną duszą, całem sercem, całem swem biednem sercem biednego zwierzęcia.

Był to rzeczywiście cudowny i naiwny widok namiętności prostej, namiętności cielesnej i wstydliwej wszakże, takiej, jaką natura obdarzyła istoty, zanim człowiek ją powikłał i skaził wszystkimi odcieniami uczucia.

Ale on zmęczył się prędko tem biednem stworzeniem pałającem i niemem. W ciągu dnia spędzał z nią tylko kilka godzin, uważając za dostateczne, iż wraca na noc.

Zaczęła cierpieć.

Wyczekiwała go, od rana do wieczora, z oczyma utkwionemi w zegarze, nie zajmując się nawet już jedzeniem, gdyż stołował się zawsze po za domem, w Clermont, w Chatel-Guyon, w Royal, gdziekolwiekbądź, byle tylko nie być w domu.

Chudła.

Wszelka inna myśl, wszelka inna żądza, wszelkie inne oczekiwanie, wszelka inna nadzieja niewyraźna zniknęły z jej umysłu. Godziny, w których go nie widywała wcale, stawały się dla niej godzinami wro-

żniejsze): narada ziemian okręgu tarnopolskiego, wiec rolników ziemi przemyskiej, ogólny krajowy wiec rolniczy we Lwowie i bezpośrednio po nim narada komitetu Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego. Wszystkie obrady miały ten sam cel na oku: obmyśleć środki zaradcze przeciw grożącej krajowi ruinie; wszędzie też zapadły takie same uchwały.

Ogólny wiec krajowy odbył się 11 grudnia. Liczba uczestników była wcale poważną, dosięgała bowiem cyfry 600. Oprócz bezpośrednio w sprawie interesowanych, tj. rolników, przybyli posłowie sejmowi w licznym zastępie, niektórzy delegaci do Rady państwa, namiestnik, marszałek, członkowie Towarzystwa gospodarskiego; na galeryach byli także włościanie. Obradom przewodniczył ks. Roman Czartoryski. Komitet przedstawił wiecowi cały szereg wniosków do uchwalenia. Domagano się tam jak najrychlejszego ustanowienia ceł ochronnych dla zboża i mąki na wszystkich bez wyjątku granicach państwa i to przynajmniej w wysokości opłat zaprowadzonych w państwie niemieckiem. Jako drugi punkt postawiono żądanie reformy taryf kolejowych w kierunku ochrony krajowych interesów rolniczych, przemysłowych i handlowych; w rezolucyi określono szczegółowo sposoby tej ochrony, zmierzającej do tego, ażeby w żadnym razie produkcya krajowa nie była niekorzystniej postawioną, aniżeli zagraniczna. Dalej żądano bezpośredniego przypuszczenia rolników do kredytu w banku austro-węgierskim, obniżenia na drodze ustawodawczej sumy podatku gruntowego, nieodpowiadającego teraźniejszym stosunkom, gdyż obecne ceny płodów rolniczych są znacznie niższe od cen przeciętnych, które służyły za podstawę do obliczenia dochodu z ziemi i opodatkowania go a koszta produkcyi zwiększyły się w dwójnasób. W związku z tem ostatniem żądaniem domagano się także obniżenia odsetek zwłoki od zaległości podatkowych, tudzież ulg w postępowaniu egzekucyjnem. W następnych punktach przedstawiono konieczność wprowadzenia w życie ustawy o opustach podatkowych z powodu szkód w ziemiopłodach, reformy ustawy o podatku gorzelnianym na tyle, ażeby podźwignąć z upadku gorzelnictwo, jako jedyny w kraju istniejący przemysł rolniczy, dalej potrzebę zastąpienia części dodatków do podatków krajowemi opłatami samoistnemi, wreszcie konieczność reformy podatku dochodowego, ażeby do płacenia pociągnięto tych, którzy dochody swe pobierają ze źródeł dotąd nieopodatkowanych, tudzież ażeby zaprowadzono opłaty od tranzakcyj giełdowych, przez co z jednej strony nastąpiłby równomierny rozkład ciężarów publicznych na wszystkich obywateli kraju a z drugiej otwartoby dla państwa źródła dochodu, któreby mu równoważyły ubytek wywołany przesileniem rolniczem. Ostatnia uchwała, ogólnej natury, domaga się od rządu, ażeby wogóle jak najtroskliwszą opieką otoczył upadające rolnictwo, zwłaszcza zaś, ażeby w budżecie ministerstwa hojniej, niż dotychczas, uwzględniał potrzeby Galicyi.

Rozprawy nad temi sprawami toczyły się z niedługą przerwą przez cały dzień do godziny 8-ej wieczorem. Wśród zwykłego u nas w podobnych razach sejmikowego zgiełku i hałasu stawiano najrozmaitsze dodatki i poprawki, rozprawiano o przyczynach przesilenia, drożyznie złota, zbytniej produkcyi towarów, przywilejach taryfowych, fiskalizmie, systemie militarnym itp. Na twarzach wszystkich jednak malowała się jakaś dziwna posępność, rzekłbym—trwoga o jutro niepewne... Jeden hr. Krukowiecki, znany z dosadnego sposobu wyrażania się, obudzał wesołość w zgromadzeniu swemi przepowiedniami, że, jeżeli tak dłużej potrwa, to on po raz ostatni chyba na zgromadzeniu zjawia się w butach a na najbliższe posiedzenie przybędzie niewątpliwie w łapciach; że „za lat kilka jego Aksmanice, za które dał 85,000 złr. a za które dawano mu dawniej już 150,000 złr., pójdą na bęben (licytacyę) za 20,000 złr. a mimo to nowy nabywca wyjdzie w niedługim czasie z torbami." Obrazowe to przedstawienie położenia obecnego naszych właścicieli ziemskich i grożącego im w przyszłości losu miało wprawdzie komiczną swoją stronę, ale jaskrawością barw budziło także w niejednych grozę.

Ostatecznie uchwalono wszystkie powyższe wnioski a także dodatkowe żądania, ażeby bank austro-węgierski obniżył dla rolników stopę procentową do 3%, ażeby już na rok 1886 dozwolono 25% opustu w podatku gruntowym a od r. 1887 wprowadzono stałe obniżenie podatku gruntowego, wreszcie, ażeby ustanowiono dla ministra rolnictwa ciało doradcze, złożone z rolników wszystkich krajów państwa. Cały szereg wniosków samoistnych w sprawie komasacyi (?) gruntów, zaprowadzenia Izb rolniczych, taniej soli dla bydła, ustawy w sprawie tępienia myszy itd. itd. przekazano komitetowi wiecu do stosownego załatwienia.

Do uchwał tych przystąpiły towarzystwa gospodarcze krakowskie i lwowskie przez usta swych prezesów obecnych na wiecu i liczne ich oddziały powiatowe. Na końcu wszczęła się jeszcze dziwna rozprawa na temat: w jaki sposób mają być wykonane owe uchwały? Poprzednio już uradzono we wszystkich sprawach odpowiednio do potrzeby udać się z prośbami do sejmu, Koła polskiego w Wiedniu i rządu. Ale tego było za mało. Jeden z mówców zaproponował wysłanie osobnej deputacyi do—cesarza w sprawie przesilenia. Mówiono za i przeciw—ostatecznie przyjęto i ten wniosek. Dziwne to doprawdy w państwie konstytucyjnem ciągłe odwoływanie się do monarchy. Wszak w tej sprawie on nic nie może zrobić, bo ustawy zasadnicze państwa nie dopuszczają jego wystąpienia w takich wypadkach. Podobne uchwały dowodzą tylko, jak mało jeszcze wkorzeniły się pojęcia konstytucyonalizmu w umysły i jak chętnie nasi politycy dawaliby się wodzić za nosy, gdyby kto tylko zechciał sprobować.

L.

Z RUSI GALICYJSKIEJ.

Lwów, 10 grudnia 1885.

Charakterystyka chwili obecnej. — Ruch literacki rusinów galicyjskich w roku bieżącym.

Znaczny kawał czasu upłynął od ostatniej mojej korespondencyi z Rusi czerwonej. Wiele też od tej chwili zmian zaszło w naszym zakątku, chociaż rezultaty tych zmian są więcej negatywnej, niż pozytywnej natury. Dożyliśmy bowiem klęski wyborczej i moralnej, rozprzężenia w łonie i tak nielicznej inteligencyi rusińskiej przez powstanie nowe niby stronnictwa klerykalno-rządowego i nieodłączne od tego

---

gich męczarni. Wkrótce mąż zaczął nocować po za domem. Wieczory spędzał w kasynie z kobietami i wracał dopiero z pierwszym brzaskiem dziennym.

Nie chciała przed jego powrotem udawać się do łóżka. Nieruchoma siedziała na krześle, z oczami nieskończenie utkwionemi w małe mosiężne wskazówki, które się obracały zwolna i regularnie dokoła tarczy, na której wypisane były godziny.

Zdaleka podsłuchiwała tentent jego konia i zrywała się jednym rzutem; następnie, gdy wchodził do pokoju, podnosiła z gestem widziadła palec swój ku zegarowi, jak gdyby rzec chciała: „Patrz jak późno!" A on zaczął się obawiać tej idyotki zakochanej i zazdrosnej; irytował się jak zwierzę. Uderzył ją pewnego wieczoru.

Zawezwano mię. Wiła się, wyjąc, w strasznem przesileniu boleści, gniewu, namiętności, czy ja wiem czego? Czyliż można odgadnąć, co zachodzi w tych mózgach zaledwie zarodkowych?

Uspokoiłem ją wstrzykiwaniami morfiny i zakazałem jej widywać tego człowieka; zrozumiałem bowiem, że małżeństwo doprowadzi ją niechybnie do śmierci.

Wtedy zwaryowała! Tak mój drogi, ta idyotka zwaryowała. Myśli o nim ciągle i oczekuje go. Oczekuje go dzień cały i noc całą, zbudzona lub uśpiona, w tej chwili, bez ustanku. Zauważywszy, że wciąż chudnie i wzrok jej uparty nie opuszcza już tarcz zegarowych, kazałem wynieść z domu wszystkie czasomierze. Odjąłem jej w ten sposób możność liczenia godzin i błąkania się bez końca w ciemnych wspomnieniach — o której godzinie wracał on niegdyś. Spodziewam się w końcu zabić w niej wspomnienie, zgasić ten błysk myśli, który zapaliłem z takim trudem.

Spróbowałem, któregoś z dni ostatnich, pewnego doświadczenia. Ofiarowałem jej mój zegarek. Wzięła go i przyglądała mu się pewien czas; następnie zaczęła krzyczeć przerażająco, jak gdyby to małe narzędzie zbudziło jej pamięć, która poczęła zanikać.

Jest ona chudą dziś, chudą, że aż litość budzi, z oczami zapadłemi i błyszczącemi. I przechadza się nieustannie, jak zwierzęta w klatkach.

Kazałem okratować okna, wstawić wysokie okiennice i przymocować krzesła do posadzki, aby nie mogła patrzeć na ulicę, czy nie wraca!

Oh! biedni rodzice! Jakież pędzą życie!

Przybyliśmy na wzgórza; doktór się odwrócił i rzekł do mnie:

— Spójrz stąd na Riom.

Miasto ciemne miało wygląd starych ogrodów. W oddali rozciągała się zielona płaszczyzna zalesiona, zaludniona wioskami i miasteczkami i zatopiona w delikatnej niebieskawej parze, która czyniła horyzont zachwycającym. Na prawo ode mnie, w oddaleniu ciągnęły się góry z szeregiem wierzchołków okrągłych lub uciętych — niby mieczem.

Doktór zaczął mi wyliczać okolice i wierzchołki, opowiadając przy każdym jego historyę.

Ale nie słuchałem, myślałem tylko o waryatce, ją tylko widziałem. Zdawało mi się, że unosi się, jak duch posępny, nad całą tą obszerną okolicą.

I zapytałem nagle:

— Co się stało z nim, z mężem?

Mój przyjaciel trochę zaskoczony, po pewnem wahaniu, odpowiedział:

— Żyje w Royal z pensyi, którą mu wyznaczono. Jest szczęśliwy, półświatkuje.

Kiedyśmy wracali wolnym krokiem, zasmuceni obaj i milczący, wyjechał przed nas z tyłu wózek angielski, ciągniony przez kłusaka czystej krwi.

Doktór chwycił mię za ramię.

— Oto go masz — rzekł.

Widziałem tylko szary filcowy kapelusz, nasunięty na ucho, po nad dwiema szerokiemi łopatkami, znikający w obłoku kurzu.

Tłom. *J. Sz.*

procesu zaostrzenie się stosunków między dawniejszemi partyami. Dożyliśmy dotkliwego w nich upadku ducha, rozdrobnienia na atomy i—atomowych starć, niesnasek, podejrzeń i oskarżeń, zabijających w samym zarodzie wszelkie porywy do szerszej publicznej działalności. Dożyliśmy całkowitego prawie zaniku publicznej krytyki, której miejsce zajęła sekciarska nietolerancya wszystkiego, cokolwiek nie podchodzi pod strychulec myśli, przekonań a raczej utartych frazesów danego kółka— bo o stronnictwach poważnych u nas chyba i mowy obecnie być nie może. Dożyliśmy tej chwili, kiedy ludzie jednej narodowości, lecz różnych odcieni partyjnych przestają rozumieć jedni drugich i kiedy—co najfatalniejsza—grupy kierujące niby działalnością narodową, za osobistemi niesnaskami i drobnymi zabiegami przestają widzieć i rozumieć potrzeby ogółu, jego stan i jego dążności — kiedy każde śmielsze słowo, każdy niezależny sąd wzbudza nerwowe dreszcze i przygłuszany bywa bądź to okrzykami oburzenia, bądź ironicznym uśmiechem, bądź też szczero-przyjacielskiemi przymówkami, że „tak jest, ale po co drażnić? To nie na czasie, to nie polityczne!“

Nie wiem, czy i polskie społeczeństwo przebywało kiedy chwile podobnego obniżenia temperatury umysłowej; to tylko wiem, że chwile takie należą do najboleśniejszych dla każdego człowieka, ożywionego pragnieniem rozumnej, realnej pracy dla narodu. Wszystko wtedy idzie jak z kamienia; najszczęśliwsze myśli, czyny, przedsiewzięcia, koszlawieją i jak owe rzeki pustyni, gubią się w piasku. Niestety, społeczno-polityczna historya rusinów galicyjskich z dobiegającego ku końcowi roku składa się przeważnie z takich płodów poronionych, wysiłków nie dość energicznych, a więc i skutkami nie uwieńczonych, planów bez należytego obmyślenia i zapału wykonanych, a więc i wykoszlawionych.

Znacznie płodniejszym niż na polu społeczno-politycznem, był rok bieżący dla rusinów galicyjskich na polu literackiem i naukowem. Z wydawnictw książkowych wspomnieć należy przedewszystkiem nowe podręczniki dla szkół średnich, a mianowicie powszechną *Geografię* Wachnianina, *Fizykę* Sawickiego (obaj profesorowie ruskiego gimnazyum we Lwowie) i *Etykę* ks. Piurki. Jakąkolwiek jest naukowa i pedagogiczna wartość tych podręczników— niezaprzeczoną ich zasługę stanowi wprowadzenie i utrwalenie mnóstwa nazw naukowych w mowie rusińskiej i danie możności dorastającym pokoleniom przyswajać sobie w ojczystej mowie skarby wiedzy ludzkiej. Do tego samego rzędu podręczników, chociaż nie szkolnych, należy też wydany latem b. r. *Prawotar*, t. j. adwokat domowy dla użytku włościan, pisarzy gminnych itp. Tego wielce pożytecznego wydawnictwa, które ze względów językowych nastręczało bardzo wiele trudności, z chlubą dokonali pp. Łukicz i Simiginowski, młodzi prawnicy.

Na polu beletrystyki utworów oryginalnych większej wartości dostarcza przeważnie Ukraina, tłomaczeń zaś przeważnie pisarze galicyjscy. Z prac oryginalnych, które w r. b. ukazały się na świat w Galicyi pierwsze miejsce zajmują dwie powieści większych rozmiarów: *Jurij Horowenko* p. Krasiuczenka i *W hostiach dobre, a doma najlipsze*, p. Drozda. Pierwsza z tych powieści ukazała się w *Rusko-ukraińskiej bibliotece* Oleśnickiego, i lubo pod względem artystycznym dosyć słaba, maluje nam jednakowoż wielce ciekawe chwile z życia inteligencyi ukraińskiej w „smutnym czasie“ 1879—1880 roku. Jeszcze ciekawszym, osobliwie dla Galicyan, choć jeszcze słabiej opracowanym jest przedmiot drugiej powieści, zaczerpnięty z dziejów rusińskiej emigracyi, która w latach 1865—1868 tłumnie szła do Rosyi. Występuje tu kilka postaci rzeczywistych, ukrytych pod przezroczystymi pseudonimami, co z jednej strony zaostrza ciekawość czytelników, lecz z drugiej snać krępowało fantazyę autora i niedozwoliło mu ani jednej z tych postaci wymalować plastycznie i natchnąć prawdziwem życiem. Powieść ta, drukowana początkowo w literackiem czasopiśmie *Zorja*, wyszła także w osobnej odbitce.

W książkowym dodatku do tegoż czasopisma *Zorja* wyszło nadto kompletne wydanie utworów poetycznych i prozaicznych jednego z dawniejszych pisarzy galicyjskich, Antoniego Mogilnickiego i dwie oryginalne komedye galicyjsko-ruskiego komedyopisarza Ceglińskiego p. t. *Tato na zaruczynach* i *Sokołyky* (Starzy kawalerowie).

Dość płodnym był rok bieżący także w wydawnictwie muzyczne. Alumni gr. kat. seminaryum lwowskiego wydali zbiór kwartetów rusińskich p. t. *Kobzar*. a młody, utalentowany kompozytor ks. Matiuk— drugi zbiór pieśni z nutami (50 n-rów) p. t. *Bojan*. Nadto inny młody kompozytor, student ruskiego gimnazyum, p. Ostap Niżankowski, ogłosił parę własnych utworów muzycznych, tchnących niezwykłą świeżością i bogactwem melodyj, przeważnie z motywów ludowej pieśni czerpanych.

Myron.

Prasa peryodyczna.

Ateneum, II półrocze, 1885 r.

W półroczu ostatniem *Ateneum* ożywiło się i urozmaiciło treść swoją; w sześciu zeszytach znajdujemy trzydzieści kilka prac większych lub mniejszych, bardzo nierównej wartości, najczęściej sprawozdawczych tylko, ale poruszających ważniejsze sprawy naukowe i społeczne doby bieżącej. Nawet dział recenzyj, w którym dotychczas jedynie krytyka literacka traktowaną była umiejętnie i obszernie przez dr. P. Chmielowskiego, rozszerzono i uzupełniono. Szkoda tylko, że ożywienie to wymyka się niekiedy z karbów powagi, jaką zachowywać powinien organ naukowy, ale okoliczność ta nie zmniejsza uznania dla redakcyi, która dołożyła wszystkich starań, ażeby pismo zrobić pożytecznem i poczytnem.

P. Jarochowski, wyborcy znawca czasów saskich pomieścił obszerną monografię p. t. „Dwie misye Franciszka Ponińskiego do Piotra I w latach 1717—18. Przyczynek ten do dziejów panowania Augusta II posiadać może pewną wartość dla historyków, ale publiczność przeczyta go chyba dzięki zajmującemu wykładowi autora, lub też dla tego, że F. Poniński starosta kopanicki jest osobistością znaną, bo przecie dawniej już Syrokomla wybrał go na bohatera poematu. Bardziej ciekawy epizod dziejowy przedstawia p. W. Czermak, jakkolwiek zwraca głównie uwagę na przebieg wypadków nie zaś na charakterystykę czasu i ludzi. „Sprawa Lubomirskiego,“ zamknięta w granicach jednego tylko 1664 roku, zyskuje może na dokładności przedstawienia tego jej okresu, ale traci ogólniejsze znaczenie. Nie wiadomo z jakiego powodu w zeszycie grudniowym nie ma dokończenia tej pracy, takie przenoszenie artykułów na rok przyszły powinno zdarzać się tylko w wyjątkowych razach.

„Pozytywna polityka reformy społecznej“ p. A. Oskierkę — to sprawozdanie z rozprawy Schäflego *Die Aussichtlosigkeit der Social-Demokratie*, z treścią której *Prawda* oznajomiła już swych czytelników. Jeżeli zaznaczamy artykuł p. Oskierki, to dla tego, że podziela on zdanie błędne, raz już przez nas podkreślone jakoby Schäfle w tem dziełku stał w sprzeczności ze swymi dawniejszymi poglądami. Tymczasem uczony niemiecki nawet w *Kwintesencyi socyalizmu* dowodzi tylko możliwości reformy ustroju społecznego według zasad socyalistycznych, ale nigdy nie występuje jako ich wyznawca, zwłaszcza zaś jako zwolennik powszechnego i prędkiego ich urzeczywistnienia.

P. K. Sosnowski podaje „Przyczynek do krytyki statystyki współczesnej,“ z powodu dzieła Giffena o polepszeniu bytu klasy robotniczej w ostatniem pięćdziesięcioleciu. Autor, opierając się na cyfrach, bądź to z innych źródeł wziętych, bądź też w dziele uczonego angielskiego przytoczonych, wykazuje pospieszność i nieścisłość wniosków Giffena. Nie możemy streszczać tego wywodu, który dochodzi do wręcz przeciwnych rezultatów, przekonywa nas ona jednak raz jeszcze, że statystyka jest bronią obosieczną, której tendencyjność lub zła wiara zawsze z powodzeniem używać będzie. Metoda naukowa może zmienić choć w części ten stan rzeczy, ale jeśli autorowie pierwszorzędni zapominają o jej wymaganiach, któremi są ocena materyału, należyte jego uporządkowanie (np. wykluczenie wszelkich kategoryj wyjątkowych) i uwzględnienie wszystkich znanych czynników, wpływających na t. z. ostatnią wypadkową, czynników nie dających ująć się w cyfry—to statystyka, jak słusznie mówi p. Sosnowski „nie może prowadzić do żadnych poważnych rezultatów, do żadnych rezultatów pewnych.“

W dziale rzeczy społecznych zasługuje jeszcze na uwagę „Szkic stosunków włościańskich w Księstwie Poznańskiem“ Adama Zakrzewskiego, przedstawiający stopniowy upadek własności chłopskiej w tej prowincyi i w Prusach, na podstawie źródeł niemieckich i polskich. Oprócz specyalnych warunków miejscowych, które pogarszają położenie ekonomiczne ludu w Poznańskiem, sprawa upadku stanu włościańskiego w krajach polskich jest dziś w głównych zarysach taką samą, jak wszędzie w Europie. Twierdzenie to postawił autor zbyt pospiesznie, gdyż dowody jego stosują się tylko do jednej dzielnicy, której warunki ekonomiczne są zupełnie odrębne.

Dwa artykuły polityczne, jeden, w którym p. G. Smolski ocenia „Położenie parlamentarne w Austryi“ przed i po wyborach i drugi zawierający uwagi p. C. „O kompanii wyborczej w Prusach,“ „Sprawy ekonomiczne“ p. L. Iwanickiego, „Listy czeskie“ Gablera, sprawozdania z Wystawy, ze zjazdów górniczego i nauczycieli galicyjskich świadczą że *Ateneum* pragnie być żywotnem, ale w dążeniu tem łatwo wpaść może w skrajność, stać się pismem przeważnie informacyjnem.

Studyum p. B. Chlebowskiego „Grażyna i jej stosunek do Jerozolimy Tassa“ wskazuje, że ów kierunek krytyki literackiej, polegający na nicowaniu utworów, zestawianiu zdań, wyszukiwaniu podobieństw, tłomaczeniu zawikłanem rzeczy, które wyjaśnień nie potrzebują, kierunek szkolarski i scholastyczny obałamucił nawet tak utalentowanego autora. Z pracy p. Chlebowskiego da się wycisnąć to tylko, że Mickiewicz w czasie, kiedy pisał Grażynę, czytał *Jerozolimę wyzwoloną* w przekładzie Piotra Kochanowskiego i że wpływ jej tu i owdzie zauważyć można w poemacie. Najsubtelniejsze zestawienia i oparte na nich wnioski dowodzą tylko, że krytycy nie rozumieją wcale procesu twórczości poetycznej.

Typem takiej szkolarskiej, sumiennej i drobiazgowej roboty prowadzonej według przepisów, obowiązujących uczniów seminaryów literackich niemieckich jest wypracowanie (bo inaczej tego nazwać nie można) p. Edwarda Schnobricha p. t. „Schiller w Polsce.“ Autor szukał pilnie śladu wpływów poezyi Schillera na autorów polskich, ale ponieważ zwrócił główną uwagę na stronę formalną, rozumie się nie wiele znalazł. Dopatruje natomiast reminiscencyj w takich np. szczegółach że „Aniela,“ bohaterka tragedyi Korzeniowskiego pod tym tytułem podobną jest do Ludwiki z *Intrygi i miłości*, „ponieważ chętnie wyznaje przed ojcem swoją bezinteresowną miłość“ albo że „jak cała tragedya Schillera tendencyjnie zwraca się przeciw arystokracyi, tak i Herman (z Anieli) staje w opozycyi przeciw bożkom ziemskim.“ Tym sposobem łatwo dowieść można podobieństwa *Pana Tadeusza* z *Biblią*, *Wallenroda* z *Komedyą boską*— słowem, czego kto chce z czem mu się podoba.

Innej metody trzyma się p. C. Neyman w pracy swej p. t. „Dumy ukraińskie.“ Autor posiłkuje się nieraz krytyką tekstów i porównaniem waryantów, ale nie poprzestaje tylko na tem niewinnem zajęciu. Szczegółowy rozbiór płodów twórczości ludu ukraińskiego służy p. Neymanowi do uwydatnienia różnicy między pieśniami ludowemi i kobzarskiemi, czyli właściwemi dumami. Te ostatnie wyrosły na gruncie czysto kozackim i nie mają niczego wspólnego z dawnym eposem czasów książęcych, którego urywki, skażone do niepoznania, pokryte nalotem żywiołów mongolskich przetrwały do dziś w bylinach rosyjskich. Dumy kozackie, jak każdy epos, posiadały specyalnych piewców—kobzarzy, od pieśni ludowych różnią się one nietylko formą i treścią, ale i odrębnym poglądem (np. na Chmielnickiego). Pod względem artystycznym stoją wyżej od przecenionych pieśni serbskich i są najwspanialszym pomnikiem twórczości poetyckiej ludów słowiańskich. Praca p. Neymana zwróciła już na siebie uwagę uczonych znawców poezyi ukraińskiej.

P. E. Przewóski nakreślił sylwetkę oryginalnej postaci Jules Valles'a („Wykolejony“). P. Radliński, z powodu przekładu Psalmów przez J. Cylkowa, charakteryzuje lirykę hebrajską, odkrywając w niej nowe, nie istniejące w piśmiennictwie innych narodów czynniki. Pewien cykl psalmów jest pierwszym objawem rodzącego się przywiązania do ziemi rodzinnej: są to pieśni z czasów niewoli babilońskiej. Znaczenie ich polega na tem, że „wszystkie ludy przyjmowały panowanie nad sobą obcych narodów jako fakt dokonany, poddawały się losowi w milczeniu. Jedni tylko żydzi widzieli w tem zawsze naruszenie porządku naturalnego. Protestowali więc krwią, protestowali słowem. Dwojaki ten protest wytworzył nową erę w dziejach ludzkości. I nie zginęli — istnieją.“ Szkoda, że autor nie rozwinął szerzej i nie udowodnił tego poglądu, tłomacząc poniekąd, dla czego poeci nasi tak często używają motywów biblijnych, lecz odesłał czytelników do innej swej pracy.

O „Zarysach ruchu literackiego rusinów,“ jak również o „Afganistanie“ p. W. Nałkowskiego wspominaliśmy już poprzednio.

Powieść E. Orzeszkowej „Dziurdziowie“ z życia ludu białoruskiego należy do najlepszych utworów utalentowanej autorki. Osobami działającemi są wyłącznie tylko chłopi, pomimo to nie brakuje jej ani rozmaitości typów, ani głębokiej tendencyi. Prosta historya chłopskiego małżeństwa staje się uroczą sielanką, sprawa kryminalna przeobraża się w groźną tragedyę, dzięki potężnej sile talentu, niezbaczającej jednak ani na krok z drogi prawdy. Autorka pozostaje wierną rzeczywistości, tylko że nie kopiuje jej jak fotograf, ale jak artysta ją odtwarza. Prawdopodobnie powieść ta wyjdzie wkrótce oddzielnie, wtedy poświęcimy jej oddzielne sprawozdanie.

„Tantyema“ p. Z. Komara jest udatnym bardzo obrazkiem ze stosunków fabrycznych na prowincyi, które młody ten autor wyłącznie prawie maluje. „Iwaś“ p. Wł. Zagórskiego—powiastka z życia ludu rusińskiego w Galicyi dopełnia dział beletrystyczny.

Z psychologii mieści *Ateneum* dwie poważne prace: jedna z nich oryginalna p. J. W. Dawida traktuje *O drugorzędnych źródłach miłości*, do nich autor zalicza czynniki uboczne, które z pozoru nie mają żadnego związku z naturą miłości i dla tego zwykle pomijane bywają w obserwacyi, zwracającej jedynie uwagę na czynniki główne. Tymczasem te ostatnie często bardzo nie wystarczają do objaśnienia zjawisk i wtedy występują wyraźnie wpływy drugorzędne, które określają bliżej działanie głównych lub nawet je krzyżują. Te czynniki drugorzędne nadają właśnie miłości życiową i etyczną wartość. Ściśle naukowy, ale ciężki sposób wykładu czyni pracę p. Dawida mało poczytną.

Przymiot ten posiada artykuł p. Kozłowskiego „Psychologia doświadczalna,“ który jest sprawozdaniem krytycznem z dzieła Jamesa Sully'ego p. t. *Outlines of Psychology*. Wybór książki, która pomimo stanowiska autora, zawiera wszelkie nabytki osiągnięte w drodze badań fizyologicznych i porównawczych, pozwala p. Kozłowskiemu oznajomić czytelnika w sposób przystępny ze wszystkiemi zagadnieniami psychologii doświadczalnej. Zadanie to popularyzator spełnił umiejętnie i sumiennie.

Do psychologii można odnieść pomieszczoną pod rubryką pedagogiki ocenę *Psychologii wychowawczej* A. Dygasińskiego; krytyk (dr. L. Kulczyński) surowo sądzi tę kompilacyę, dokonaną bez żadnego wyboru. Możnaby mu zarzucić zbytnią drobiazgowość, ale tłomaczy on się w ten sposób: „Autor występuje z taką pewnością siebie i tak jest przejęty wielkością myśli wypowiedzianych, iż zapewne gniewać się nie będzie, żeśmy jego dzieło obszerniejszej ocenie poddali.“

Nauki przyrodnicze—a właściwie tylko biologia — mają sprawozdawcę w p. J. Nusbaumie. Obie prace tego autora: „Nowsze poglądy na życie organizmów“ i „Poglądy Naegelego na darwinizm i nowa teorya pochodzenia gatunków,“ traktują o rzeczach bardzo ciekawych nie tyle dla specyalistów ile dla wykształconych czytelników. Autor zna gruntownie przedmiot, o którym pisze i jeżeli ktoś może strawić często trafiające się gruzełki w jego stylu, widocznie mało poprawianym przez redakcyę, ten odniesie istotną korzyść naukową.

P. Z. Przesmycki na podstawie dzieł Jireczka i innych podróżników podaje szczegółowy opis *Rumelii Wschodniej* oraz charakterystykę stosunków społecznych i politycznych tego kraju.

Kilka sprawozdań i krytyk, pomiędzy któremi wyróżniają się, jak zwykle, rozbiory dokonane przez dr. P. Chmielowskiego, dopełniają zawartości sześciu zeszytów *Ateneum*. Krótkie recenzye p. t. „Wrażenia literackie“ sypią się dosyć obficie w dwóch ostatnich numerach, źle tylko, że w tych ulotnych wzmiankach dostrzegać się daje pewna stronność koteryjna, od której *Ateneum* dotychczas było wolne. Nie idzie tu o rzeczy ważne, tylko o drobiazgi, których czujność redaktorska nie zawsze potrafi dojrzeć, należałoby jednak unikać tego na przyszłość.

Od października znajdujemy nową rubrykę—kronikę miesięczną, którą z początku prowadził p. Strzemieńczyk, w grudniu zaś miejsce jego zajął p. L. Straszewicz. Ponieważ pierwszy z nich już zamilkł, drugi zaś jakkolwiek mówi dużo, prawdopodobnie nie wygłosił jeszcze wszystkiego, co ma do powiedzenia—nie będziemy poświęcać im dłuższej uwagi.

N.

LIBERUM VETO.

Niewydaleni z Niemiec. — Odzyskany Kopernik, który nie żyje i niema składu desek. — Tablica dla Chodowieckiego. — Prawdziwa historya o pokąsanych przez wściekłego wilka.— Rozmowa Kułakowic z Paryżem i d-ra Steckiego z Pasteurem. — Bezwiedna ofiarność Patti. — Męczennicy kiermaszu. — Życzenia.

Ze „swego“ kraju niemcy wypędzają polaków, ale ze swej Walhalli — nie. Tam, owszem, ściągają ich skwapliwie i opatrują prawem obywatelstwa. Gdyby nie ukradzione innym narodom znakomitości, pruski (nie niemiecki) przybytek wielkich ludzi nie obstawiłby posągami jednej sali. Natura bowiem jak gdyby przeklęła tę ziemię i rzadko na niej sieje dęby. Ale od czego spryt, ten sam, dzięki któremu w Wersalu przed 15 laty zginęło dużo zegarów! Politykę można zastosować również do geniuszów. Łupem jej stał się oddawna Kopernik, któremu żaden landrat nie przysłał wypowiedzenia „gościnności.“ Gdyby wielki astronom żył dotąd i posiadał np. w Toruniu skład desek, może by go wypędzono dla nabycia ich za bezcen, ale po śmierci niezawodnie „odzyskanoby“ znowu. Oprócz Kopernika dozwolono przebywać w Prusach aż do sądu ostatecznego wielu innym polakom, których prochy zawierają w sobie złote ziarnka jakiejkolwiek sławy, mogącej przyozdobić koronę chwały krzyżackiej. Przed kilku dniami w jednym z domów berlińskich, w którym mieszkał Daniel Chodowiecki, wmurowano tablicę pamiatkową. Ani jedna litera w nazwisku niezmieniona — wyraźnie: Chodowiecki — czystej krwi niemiec! A z jaką czcią piszą gazety o genialnym rysowniku — swoim „rodaku!“ Zdawałoby się, że niemcy i polacy to dwa „bratanki,“ że na wschodniej granicy Giermanii nie otrębują żandarmi nakazów wygnania dla... *ckich* i... *skich*, że wielki artysta, gdyby wstał z grobu, unieśmiertelniłby braterstwo dwu narodów. O, straszna ironio historyi!

A jednak widocznie niema złych rzeczy na świecie, skoro nawet te marne, podłe „Ausweisungi“ uratowałyby życie wielu ludziom! *Medycyna* opowiada następujące zdarzenie, które powinno być wniesione do podręczników miłosierdzia publicznego. We wsi Kułakowicach pies wściekły pokąsał świnię, którą właściciel przywiązał w lesie do drzewa, oczekując rozwinięcia się choroby. Nazajutrz wszakże znalazł tylko kości. Wkrótce wilk, który sobie wyprawił tę ucztę, prawdopodobnie nie bez walki z ofiarą, pokąsał 20 ludzi. Lekarz z początku nie chciał ich przyjąć do szpitala, pozbawionego potrzebnych środków i obsługi, na wyraźny wszakże rozkaz władzy umieścił siedmiu. Przewidując okropny ich koniec, napisał list do Pasteura z prośbą o radę. W pięć dni otrzymał od niego telegram następujący: „Przyślij pan do Paryża wszystkich pokąsanych. Leczenie bezpłatne!“ Lekarz odtelegrafował, że pokąsani są ludźmi biednymi a fun-

duszów publicznych na zaopatrzenie ich nie ma. Wtedy Pasteur odpowiedział depeszą: „Zobowiązuję się zapłacić koszta podróży i pobytu pięciu pokąsanych i pana, jeśli przybędziesz.“ Wkrótce nadszedł od niego list, w którym pisze: „Jeżeli ich ocalę, jakież to będzie piękne zastosowanie mojej metody! Jady do szczepienia jeszcze nie jeżdżą. Towarzystwo dobroczynności, municypalność poniesie koszta podróży i pobytu. W potrzebie ja pokryję wydatki. tak pragnę leczyć tych nieszczęśliwych.“ Zdawałoby się — wygrali życie! Posłuchajmy *Medycyny*: „Kol. Stecki (lekarz) zdecydował się wyłożyć swoje pieniądze i już gotował się do długiej z pięcioma pokąsanymi podróży. Gdy jednak kwestya paszportów etc. nie mogła być tak prędko załatwioną, jak tego wymagała sytuacya, jeden z pokąsanych mianowicie 8-letni Adam Milanowski z Patnowic dostał napadu wścieklizny... Widząc smutny koniec Milanowskiego, inni chorzy błagali kol. Steckiego, iżby ich zawiózł choćby na koniec świata dla wyratowania od niechybnej śmierci. Rzecz jest już bardzo spóźnioną, gdyż od pokąsania upłynęło *pięć tygodni*, a kol. Stecki stracił wobec nastręczających się trudności ochotę do podróży.“

Opowieść ta jest tak jasną, prostą, zrozumiałą, że obszernych objaśnień nie wymaga. Uwydatnimy w niej tylko parę szczegółów. Gdyby ci pokąsani przez wilka wściekłego nie słyszeli o żadnym Pasteurze, udaliby się do znachorek, owczarzów, wreszcie do doktorów— i pomarliby w złudzeniu, że żyć będą. Na nieszczęście dowiadują się, że gdzieś tam, daleko, za górami i lasami jest taki jeden człowiek, który wściekliznę leczy. Pojechaliby—nie mają pieniędzy. Rozpacz tem większa, że ów jeden człowiek chce ich leczyć darmo. Więc tylko idzie o koszta podróży! Ale zbawiciel donosi, że nawet opłaci ich drogę i pobyt; więc tylko siąść na wóz, potem do wagonu — nadzieja ocalenia błyszczy tęczowemi barwami! Niestety, nastręczają się trudności, przepisy paszportowe etc. Jeszcze otucha nie opuszcza biedaków — tymczasem jeden z pokąsanych dostaje napadu, lekarz z pozostałymi boi się jechać— upływa *pięć tygodni*... za późno! W całej sile nikt z nas nie może odczuć, czem dla tych biedaków było to „za późno.“ Natomiast możemy dostatecznie ocenić charakterystyczne znamiona telegraficznej rozmowy między Kułakowicami a Paryżem, między dr. Steckim a Pasteurem. Badacz francuski przyrzeka naprzód bezpłatną kuracyę, potem zapewnia biedakom miłosierdzie Towarzystwa dobroczynności lub gminy paryskiej, wreszcie sam zobowiązuje się ponieść wszystkie koszta podróży i pobytu sześciu osób—na to Kułakowice z dr. Steckim odpowiadają tylko: nie mamy środków, nie możemy pokonać trudności. A teraz pomyślmy, jakiem dobrodziejstwem dla tych nieszczęśliwych, pokąsanych przez wściekłego wilka, byłby nakaz pruski, polecający im wyjechać „natychmiast?“ Jakiś komitet dałby im zapomogę, policya paszport i... może byliby uratowani.

Pasteur nie zdołał świadomie ocalić naszych biedaków, Patti ukwestowała dla nich pokaźną sumkę bezwiednie. Od chwili, jak prasa oświadczyła się przeciw wygórowanemu żądaniu artystki i zaczęła ludzi odmawiać od dobrowolnego na jej korzyść haraczu, *Kuryery* otrzymywały ciągle z wyżyn i nizin społecznych ofiary dla ubogich „zamiast kupowania biletów na występy Patti.“ Ile tam zebrało się owych składek — nie wiem, w każdym jednak razie nadzy i głodni coś zyskali, nienadzy zaś i niegłodni dowiedli co najmniej taktu, którym odstraszyli francuską śpiewaczkę. Jeżeli bowiem przyzwoitość publiczna ma rozumną zasadę, to dla niej wobec pogorzelców grodzieńskich, wobec wygnańców pruskich, wobec niedoli ogólnej, nie należało dopuszczać się jawnego zbytku. Mówię: jawnego, gdyż z drugiej strony jestem pewien, że znaczna część pieniędzy. których Patti nie dostała, nie zrosi wcale gruntu dobroczynności.

Zresztą nie powinna ona zbyt narzekać—napchał jej szczodrze kieszenie kiermasz, który już się skończył — i dobrze zrobił. Jeszcze dwa, trzy dni a pół Warszawy udusiłoby się w jego tłoku. Że ten i ów lub ta i owa w prasowaniu zemdleli — mniejsza; ale że chciano tam pozbywać się dzieci — to przykro. Dziwne koziołki wywraca czasem ta nasza logika! Gdy biedna służąca, popchnięta wstydem i obawą nędzy, porzuca dziecko na schodach w nadziei, że je ktoś litościwy przygarnie — nazywa się „wyrodną matką;“ ale gdy jakaś dama wprowadza kilkoletnie maleństwo na kiermasz, gdzie ono może być rozdeptanem — to uważamy jedynie za lekkomyślność, która nie wywołuje „śledztwa w toku.“ A ja bym takie damy pociągnął do odpowiedzialności sądowej—przepraszam— ja bym takich dam na kiermasz nie wpuścił.

. . . .

Musi być głupim, bardzo głupim człowiek, który dziś umie być długo wesołym. Niech mi to posłuży za usprawiedliwienie, że nie żegnam was, czytelnicy, na kresie starego roku z wesołą twarzą. Wsysając, jak gąbka, zbliska i zdaleka, wszystkie gorycze, które los sączy, nie mogę z siebie wycisnąć słodkich i odurzających kropli. Życzyć czegoś trzeba? Ta sakwa chyba u nas najpełniejsza. Toż przecież całe nasze życie jest pasmem życzeń... daremnych, rzadko przeplatanem spełnionemi. A z tego pasma przeznaczenie drwi, jak drwi! Mamże rozśmieszać złośliwe fatum? Niech się więc cieszy! Życzę, ażeby wam nie zaświeciła żadna gwiazda, która wkrótce zgaśnie, ażebyście zrozumieli język i dążenia waszych prawnuków, jak rozumiecie pradziadów, ażebyście nie płakali nad kolebkami swych dzieci, skazanych na ciężką walkę, ażebyśmy wszyscy... Bądźcie zdrowi.

Poseł Prawdy,

NA WIDNOKRĘGU.

Zwyrodniała krew czysta. — Sposób podniesienia dochodów z ziemi. — Praktyczni. — Szlachcic-reporter. — Z Łodzi. — Handel w poborze do wojska.

Dobra krew ma u nas jeszcze dotychczas swoją cenę, ze wszystkich moralnych i materyalnych rzeczy najmniej jest podległą wahaniom dziennego kursu. Nawet demokraci, rozumie się ci, którzy nie zeszli „z podstawy narodowej,“ piorunując na magnatów, jednocześnie twierdzą, że jądro gminu szlacheckiego mocne jest i zdrowe. Szlachta zaściankowa cieszyła się ogólną sympatyą w piśmiennictwie, poezya opromieniła swym czarem tych Bartków i Maćków, Klucznikow, Chrzcicieli, Brzytwy, historyozofia wyznaczyła im przeważną rolę w dziejach, a nawet polityka przyznała im znaczenie polskiego „Cultur-elementu“ w kraju zachodnim. Korespondencya z nad Wilii, zamieszczona w *Wieku*, rzuca inne zupełnie światło na życie i obyczaje tego „szlacheckiego narodu.“

„W życiu i gospodarstwie panuje straszny konserwatyzm. Chociaż warunki się zmieniły, o żadnych ulepszeniach szlachcic słuchać nie chce. Pod tym względem włościanie zrobili większe postępy i znacznie wyprzedzili szlachtę.“

Gorzej jeszcze przedstawia się stan moralny tej warstwy ludności.

„O wychowaniu dzieci mowy niema. Rzemiosło budzi jeszcze wstręt nieprzezwyciężony. Dorastający synowie siedzą w domu bezczynnie lub zbijają bruki małych miasteczek a raczej depczą wieczne uliczne błoto. W tej atmosferze ciasnej i niezdrowej rozwijają się złe instynkty i skłonności. Młodsze pokolenie szlacheckie w ostatnich czasach moralnie podupadło bardzo. Smutno wyznać, że wydało ono wielu koniokradów i złodziei. W Mińskiej gubernii są zaścianki słynące z koniokradztwa.“

„Inteligencya stoi tam na najniższym stopniu rozwoju. Szlachcic uporczywie się broni przed wszelkim prądem cywilizacyjnym.“

Dla ludzi, znających stosunki miejscowe, korespondent nie mówi nic nowego. Pisarze i doradcy pokątni w miasteczkach litewskich pochodzą zwykle z drobnej szlachty, w Petersburgu potomkowie Maćków pełnią najczęściej funkcye t. z. „syszczyków,“ pomiędzy prostytutkami „szlachcianki“ litewskie stanowią dość znaczny procent. Z warstwy tej rekrutuje się owa hałastra chciwa i występna, będąca plagą miast w kraju zachodnim, która z jednej strony czepia się najniższych szczebli klasy urzędniczej, z drugiej zaś zniża się do proletaryatu „bosej komendy.“ Słowem:

Czeladź podła, wszemu krzywa,
Która wierzchem ludu pływa
Jak nieczyste szumowiny.

Potomkowie tych, którzy pracy nie znali prawie, bo żyli z tego, że wynajmowali swoje głosy, głowy i szable więcej dającemu, tych opojów, którzy detalicznie sprzedawali ojczyznę, kiedy starsi bracia sprzedawali ją hurtownie, nie przerodzą się tak prędko, a kto wie, czy się nawet kiedykolwiek przerodzą.

Zepsucie i ciemnota stanowią charakterystyczną różnicę pomiędzy drobną szlachtą a „kastą ludzi składającą się z oficyalistów, kucharzy, lokajów etc., którzy wśród ciągłego falowania warstw społecznych, wyrzuceni przez szczęśliwe okoliczności na widnokrąg szerszy i jaśniejszy, nie przestają wytrwale torować sobie drogi dalej i z gorączkowym iście zapałem garną swą dziatwę do światła i wiedzy “ Zdrowy żywioł ludowy nawet w bezpośrednim zetknięciu się z wpływami demoralizującymi nie zatracił cech dodatnich, zgorszenie prześlizgnęło się tylko po nim, bo tarczą, od której odskakiwały zatrute pociski, była dłań — praca.

Dla szlachcica dotyczas praca jest smutną koniecznością, której unika wtedy nawet, kiedy polega ona jedynie na kierowaniu pracą cudzą. Inny korespondent *Wieku* chwali obywateli na Żmujdzi, którzy potrafili zdwoić dochód z majątku i zarazem uwolnić się od wszelkich kłopotów. Landlordowie z nad Niemna i Rosi wprowadzają z korzyścią dla siebie system fermerski, łamiąc majątek na drobne działki i wypuszczając je w dzierżawę. Oto jeden z przykładów: Pewien „praktyczny“ żmujdzin, zostawiwszy tylko 300 morgów dla dworu, pokruszył resztę, tj. 1,200 morgów na 30 działów, które oddaje w dzierżawę „ludziom wolnym.“ Każdy dzierżawca płaci rocznie 120 rubli, a oprócz tego wszyscy zobowiązani są pole dworskie zorać, nawóz wywieść, zasiać, zboże zebrać, zwieźć i wymłócić. Tym sposobem z gruntów dworskich właściciel ma około 2,000 rs. dochodu, a razem z czynszem dzierżawnym — około 6,000 rs. Przy gospodarstwie osobistem obywatel ów nie mógłby otrzymać takiego dochodu.

Korespondent zalecając ten sposób pobierania renty, nie zastanowił się widocznie, do jakich prowadzi on wniosków. Bo jeżeli dochód zwiększył się, to: 1) albo dzierżawcy płacą czynsz nadmierny, 2) albo

gospodarstwo małe jest produkcyjniejsze od wielkiego i wtedy upadek większej własności jest rzeczą konieczną i korzystną, nietylko ze względów społecznych, ale i ekonomicznych. W dalszym ciągu nasuwają się jeszcze pytania: co będzie robił na wsi taki szlachcic, który wyrzekł się gospodarki i wogóle, na co ma istnieć pasorzyt, który wyłącznie żyje z cudzej pracy, wyzyskując ją niemiłosiernie? Nie ulega bowiem chyba wątpliwości, że gdyby dzierżawcy kupili majątek bodaj po 2,000 rs. za włókę i na ten cel zaciągnęli pożyczkę— płacili by mniej procentu, aniżeli dziś wynosi czynsz w gotówce i robociznie i posiadalibyby ziemię na własność.

Szkoda, że ów praktyczny żmujdzin nie nadesłał wiadomości o swoim majątku do komisyi konkursowej, naradzającej się nad środkami usuwającymi przesilenie rolne. Pamiętamy dobrze, że w obliczeniach budżetów gospodarskich ocena pracy właściciela wynosi zwykle poważną sumę. Ile zaś w rzeczywistości warta, pokazują powyższe cyfry; ziemia bowiem bez „rozumnego kierownictwa" daje dwa razy większy dochód.

Ten sam korespondent charakteryzuje obywateli żmudzkich jako ludzi praktycznych, zabiegliwych i rozsądnych. Przymioty te czynią z nich właśnie odpowiednich przedsiębiorców rolnych w znaczeniu kapitalistycznem. Bo nie ma kwestyi, że i ów obywatel, który zaprowadził system fermerski w swym majątku, jest rozsądnym i trzeźwo patrzącym na rzeczy właścicielem ziemskim—nie trzeba tylko zalecać wprowadzonych przezeń stosunków, jako wzoru działalności obywatelskiej. Jako przedstawiciel pewnej klasy społecznej działa on w duchu jej interesów rozumnie i legalnie; inna rzecz wszakże życzyć sobie wytworzenia u nas klasy dzierżawców, zależnych od kaprysu landlorda.

Tacy praktyczni i zabiegli obywatele nie padną ofiarą spekulantów, wypożyczających chętnie znaczne sumy właścicielom ziemskim w guberniach zachodnich, aby potem wystawić majątek na sprzedaż i dzięki warunkom miejscowym kupić go za bezcen. W roli takiego pająka, snującego sieć, w którą wpadają nieopatrzne muchy szlacheckie, wystąpił niedawno w sądzie kijowskim ex-profesor uniwersytetu dr. Mering, znany milioner. Pożyczył on niejakiemu Piątkowskiemu 15,000 rubli, sądząc, że ten na termin nie odda a wtedy szanowny uczony tanim kosztem nabędzie potrzebny mu dla zaokrąglenia posiadanych dóbr majątek. Pośrednikiem był notaryusz Obolenskij, skazany niedawno za oszustwo, któremu dłużnik w oznaczonym czasie oddał należność. P. Obolenskij, rozumie się, 15,000 rubli przywłaszczył sobie, p. profesor wytoczył mu za to proces kryminalny i podczas rozpraw sądowych wyszły na jaw przywiedzione wyżej szczegóły. Prezes sądu, zwracając się do przysięgłych, zaznaczył, że opinia publiczna powinna piętnować takich ludzi, którzy przez wyzysk lub podstęp starają się wydrzeć cudzą własność; sąd nic im zrobić nie może. Nie powinno to jednakże wpływać na uniewinnienie drugiego oszusta, który stanął w jawnej sprzeczności z paragrafami prawa. Rzeczywiście p. Obolenskij został skazany.

W *Gazecie lubelskiej* jakiś niby to ziemianin, który jednak wygląda na wysortowanego reportera, pomieszcza od pewnego czasu listy wiejskie. W pierwszym z nich żądał on wprowadzenia u nas straży polnej, na wzór francuskich *gardes champetres*, w drugim mówi o związku między chatą i dworem. P. Stanisław... (tak się bowiem nazywa) twierdzi, prawdziwie zresztą, że u nieoceni tej nie ma. „Chociaż nie zamykamy włościanom drogi na nasz szlachecki dziedziniec, ale nie garną się oni do dworu." Naiwne to wyrażenie, że „dziedziniec" dworu stoi dla chłopów otworem— najlepiej objaśnia obywatelskie stanowisko autora. Rzeczywiście na dziedziniec chłopi nie garną się—bo to jest miejsce właściwe dla bydła, ale nie dla ludzi. „Polityka nasza partykularna zbliżenia się ku masom włościańskim nie wydała owoców na zebraniach gminnych: zawsze jesteśmy przegłosowani, kiedy chodzi o uchwalenie podatku z morgu, czy z dymu." „Brat mój młodszy tak ufa i wierzy we mnie, jak ja, nie przymierzając, w szczerość uczuć mego pachciarza." Niezaprzeczenie świadczy to, że „brat młodszy" nie pozbył się jeszcze chłopskiego rozumu i widzi jasno, że kiedy „starszy brat" doń się zbliża, to zawsze z ukrytą myślą przeniesienia składki z morga na dym, t. j. zwalenia całego prawie ciężaru opłat gminnych na słabe barki młodszego, co jest zbyt wysoką ceną biletu wejścia na dworski dziedziniec. Szczery p. Stanisław nie widzi i nie czuje swego cynizmu, owszem ośmiela się nawet rozprawiać o niemoralności włościan.

Do Łodzi przybył z Berlina uczony rabin, który zbiera składki na utrzymanie szkół żydowskich w stolicy Prus. Izraelici łódzcy nie szczędzą hojnych ofiar, kiedy, nie mówiąc już o tem, że rodzinne ich miasto nie ma szkół, nawet instytucye wyznaniowe wloką nędzny żywot. Synagoga nieskończona, cmentarz nieogrodzony, nawet dla braku funduszów oszukano tegorocznych rekrutów i nie wypłacono im umówionego wynagrodzenia.

Bo trzeba wam wiedzieć, czytelnicy, że spryt handlowy żydków potrafił i ze służby wojskowej zrobić korzystny interes. Na parę tygodni przed poborem rekruci znikają i za pośrednictwem faktorów traktują z współwyznawcami o sumę wynagrodzenia, jakie dostaną za to, że stawią się do wojska. W Berdyczowie każdy rekrut dostał po 150 rubli, w Kijowie układy rozbiły się i kandydaci na bohaterów ukryli się tak dobrze, że policya, chociaż robi ciągłe obławy, nie może żadnego złapać. W gub. płockiej połowa rekrutów nie stawiła się, widocznie ofiarowano im za mało. W Bułgaryi tymczasem, jak piszą gazety, żydzi prosili, żeby im pozwolono służyć wojskowo i sformowali oddzielny legion; widocznie współwyznawcy ich u nas mają inne nieco pojęcia w tej kwestyi. Dla czego?

J. Nieborski.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Warszawa, d. 22 grudnia.

Komisya międzynarodowa dotyczas nie może ustanowić warunków zawieszenia broni, ponieważ to Serbia, to Bułgarya występują ze swojem *veto.* Zwłaszcza strona zwycięzka upiera się dość silnie przy swych żądaniach, które przez grzeczność nazywa już tylko życzeniami. Ostatnie wiadomości głoszą, że komisya zdołała przełamać opór stron wojujących i zawieszenie broni stanowczo już zostało zatwierdzonem.

Jeżeli ten krok wstępny spotkał tyle przeszkód, nic dziwnego, że sprawa zawarcia pokoju i unii bułgarskiej wlecze się jeszcze wolniej. Gazety napomykają o nowej konferencyi a właściwie kongresie, który jednak zbierze się dopiero... na wiosnę. Turcya pragnie jaknajprędzej pozbyć się kłopotu, rozumiejąc dobrze, że wszelkie powikłania nadewszystko jej grożą niebezpieczeństwem; zdaje się więc, że połączeniu obu krajów nic nie stoi na przeszkodzie, bo nowych wymagań serbskich o przywrócenie dawnych stosunków trudno brać poważnie. Chodzi więc tylko o zgodę Rosyi, która podobno oświadczyła, że ponieważ inne mocarstwa i Porta zezwalają na zmianę warunków traktatu berlińskiego, ona nic nie ma przeciw temu, ale za podstawę nowego urządzenia stosunków na półwyspie bałkańskim pragnie przyjąć umowę w San-Stefano. W takim razie dałoby się wykroić może jakieś wynagrodzenie dla Serbii. Inne znowu pogłoski twierdzą, że rząd rosyjski przystaje na zamianowanie księcia Aleksandra wielkorządcą Rumelii, ale pod tym warunkiem, że obie prowincye stanowić będą odrębne całości, że wojska tureckie zajmą przesmyki w Bałkanach i że dowódcą milicyi rumelijskiej zostanie osoba posiadająca zaufanie Rosyi.

W oczekiwaniu powszechnej zawieruchy amatorzy smacznych kąsków gotują się do chwytania zdobyczy. Czarnogórcy uzbroili się już i czekają na kogo uderzyć, grecy również stoją pod bronią, ale ci znowu nie wiedzą gdzie napaść. Możliwość spotkania się w otwartem polu z wojskami tureckiemi nie bardzo uśmiecha się przezornym potomkom helenów, zamyślają więc urządzić wyprawy do Kandyi i Macedonii, aby tam wywołać powstanie. Wszystkie te pożądania czekają tylko sygnału, ażeby rzucić się na łup upatrzony.

Liberaliści angielscy weszli w układy z Parnellem, Gladstone ofiaruje homerulerom zupełną autonomię i oddzielny parlament dla spraw miejscowych, żądając w zamian zapewnienia swobody dla mniejszości angielskiej w Irlandyi. Nie podoba się to wielu członkom stronnictwa liberalnego.

Chiny zaczynają stosować względem anglików w Birmie taką politykę, jak przedtem względem francuzów w Anamie dla wytargowania pewnych ustępstw terytoryalnych. Ale wątpliwem jest, czy co wytargują; anglicy bowiem znajdują się w daleko lepszem położeniu. Posiadłości ich otaczają Birmanię, wojska zaś z Indyj łatwo sprowadzić.

Komisya parlamentarna w sprawie tonkińskiej zażądała od Izby odmówienia rządowi kredytu i radzi zupełne opuszczenie Tonkinu. Brisson jednak upiera się przy swojem zdaniu. Rozprawy w tej kwestyi już się zaczęły, przyjmują w nich udział najwybitniejsi mówcy i politycy. Odmowa dalszego kredytu pociągnie za sobą upadek gabinetu.

Ojciec króla portugalskiego umarł. Nie grał on nigdy ważniejszej roli politycznej, był bowiem tylko mężem królowej; pochodził z dynastyi rozpłodowej koburgskiej, która dostarczyła dziedziców kilku tronom europejskim.

CUDZE GŁOSY.

Kuryer warszawski, ganiąc radykałów francuskich za żądanie cofnięcia wojsk z Tonkinu, powiada:

„Dlaczego porzucać kraj w chwili, gdy go się po kilkoletnich mozolnych wysiłkach zdobyło? Na to pytanie odpowiedzieć mógłby tylko duch stronnictwa, który rozwielmożnił się w parlamencie francuskim i urąga nietylko logice, ale i patryotyzmowi."

Gazeta warszawska przytacza za jednem z pism galicyjskich następujące doniesienie:

„Fabrykanci i kupcy pruscy, widząc, że rozporządzenie ks. Bismarka w sprawie wydalań naszych rodaków nie obeszło się bez niemiłych dla nich następstw i że mnóstwo firm naszych

zerwało z nimi stosunki, wzięli się na sposób, chcąc przynajmniej w części powetować swoje straty. Oto przyjęli polskich korespondentów, i nagle zaczynają porozumiewać się z nami po polsku, gdy przedtem nie odpowiadali wcale na listy polskie, jako dla nich niezrozumiałe.

Na dowód prawdziwości słów powyższych przytaczamy bardzo ciekawy list, opatrzony nawet polską pieczęcią, a pochodzący od „Akcyjnego Towarzystwa H. F. Eckerta“ w Berlinie.

Brzmi on jak następuje:

„Szanowny Zarząd Dóbr w Lisówku p. Biecz w Galicyi.

W odpowiedzi na list Pański donosimy mu niniejszem, że tak dyrektor naszej fabryki, jako też i kilku innych urzędników są polakami, więc niesłuszne i nieuzasadnione jest z Pańskiej strony twierdzenie, jakoby fabryka nasza miała być pruską. Zresztą zechciej Pan łaskawie zrozumieć, że handel z polityką (wydalaniami) niema tu nic wspólnego i że nie naszem dziełem jest obecny prąd polityczny, z którego niemcy liberalni nawet bardzo są niezadowoleni.

W każdym razie przykro nam bardzo, że szanowny zarząd chce z nami zrywać stosunki handlowe z powodów od nas niezależnych, ale nadmienić tu musimy, że to po raz pierwszy nam się zdarza, ponieważ każdy powinien wiedzieć, że polacy, mieszkający w Prusiech są polakami, nie zaś prusakami.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Że *Śmierć cywilna* Giacometiego prędzej czy później wejdzie na repertuar naszego teatru, który ciągle pozostaje przybytkiem sztuki aktorskiej a nie dramatycznej—o tem nie wątpiliśmy ani na chwilę. Bo trudnoż było przypuścić, ażeby któryś z aktorów naszych nie połakomił się na rolę (w obecnym teatrze idzie przedewszystkiem o jakąś wybitną „rolę“), która przedstawia tyle sposobności do nagłych zmian twarzy, jej bolesnych i rzewnych wyrazów, do krzyków, łez, rozpaczy itd. Ponęta była tem większą, że Rossi i Salvini zdobywali szczytne wawrzyny na tym koniku. Nie posiadamy wprawdzie Rossiego i Salviniego, ale mamy wielu takich, którym owe wawrzyny spać nie dają. Dzięki tej bezsenności *Śmierć cywilna* weszła na warszawską scenę.

Jest to robota pastwiąca się niemiłosiernie nad nerwami słuchaczów. Zbrodniarz, którego dziecko wziął i uznał za swoje poczciwy człowiek, ucieka z więzienia, wraca do żony, która go odtrąca, chce odebrać córkę, która o jego ojcowstwie nie wie; przekonany wieloma wstrętami i tłomaczeniami, wyrzeka się rodziny, którą kocha, i w rozpaczy umiera. Naturalnie pozostaje on w bliskiem pokrewieństwie z całem rozsławionem kiedyś w literaturze plemieniem przestępców—bohaterów, którzy dziś jeszcze, zwłaszcza przy dobrej grze aktorskiej, liczyć mogą na łzy spóźnionego współczucia. Pewne warstwy społeczne—i to bynajmniej nie najniższe—przechodzą koło świątyni wiedzy, jako koło świeżo pomalowanego domu—zdaleka, ażeby nie poplamić swej odzieży niezaschłą farbą. Dla tych warstw dotąd nie istnieje cała nowa teorya psychologii występku, nie istnieją organizmy od urodzenia moralnie zwyrodniałe, nie istnieją zabójcze wpływy więzień itd. Wszelki też zbrodniarz, oświetlony bengalskimi ogniami melodramatu, może jeszcze liczyć na idealną aureolę.

Płakano i cierpiano w teatrze podczas przedstawienia *Śmierci cywilnej* bez miary, zwłaszcza że p. Ładnowski, chociaż nie wyrównał wielkim wzorom, grał umiejętnie. Inni stanęli ze swemi rolami niżej, ale i autor nie wymagał od nich, ażeby się wydobywali na wierzch.

Konkurs. Redakcya *Gazety świątecznej* ogłasza konkurs na napisanie powiastki rozśmieszającej i zarazem pożytecznej, zrozumiałej dla czytelników z ludu. Powiastka powinna być krótka (od 300—800 wierszy druku). Nagroda wynosi 100 rubli. Utwory powinny być nadsyłane do księgarni K. Prószyńskiego, zaopatrzone właściwym znakiem, który również umieścić należy na zapieczętowanej kopercie z nazwiskiem autora.

Gazeta rolnicza na podstawie wykazów statystycznych i kombinacyi dochodzi do wniosku, że ceny zboża podniosą się. „Kto będzie miał—mówi ona—zboże do zbycia w miesiącach, poprzedzających nowe zbiory, nie będzie żałował, że wstrzymał się ze sprzedażą.“

Prasa polska Od nowego roku zacznie wychodzić we Lwowie miesięcznik *Przegląd weterynarski* (?).

Kandydaci. Na miejsce dyrektora instytutu głuchoniemych i ociemniałych przedstawieni zostali trzej kandydaci ks. Jagodziński, prof. Przystański i p. Wilujew. Najodpowiedniejszym jest bezwątpienia ks. Jagodziński, dotychczasowy wice-dyrektor instytutu.

Konkurs im. Lindego. Sekretarz generalny krakowskiej Akademii umiejętności, hr. St. Tarnowski, rozesłał pismo następujace: 1. Akademia umiejętności w Krakowie, w myśl układu zawartego w d. 10 lipca 1870 r. z W-ną Ludwiką z Lindów Górecką, ogłasza niniejszem konkurs na prace do nagrody imienia Lindego. 2. Przedmiotem konkursu będą prace z języka polskiego, mogące posłużyć do uzupełnienia Słownika języka polskiego S. B. Lindego, a mianowicie: lexykograficzne, monografie z zakresu gramatyki i związku języka polskiego z innymi słowiańskiemi. 3. Prace konkursowe powinny się odznaczać metodą ściśle naukową i każda tworzyć powinna zaokrągloną i skończoną całość. 4 Prace nadsyłane być mogą równie w rękopismach, lub też ogłoszone drukiem w ciągu trwania niniejszego konkursu. Prace nadsyłane być mają na ręce sekretarza generalnego Akademii. 5. Praca, za najlepszą uznana, otrzyma nagrodę w ilości 675 rs.; dwie inne najwięcej do niej treścia zbliżone, otrzymają każda po 337 rubli sr. 6. Czas trwania konkursu ustanawia się do końca grudnia 1888 r. Prace nadesłane po 31 grudnia 1888 r. uwzględnione nie będą. 7. Przyznanie nagród i zawiadomienie o przyznaniu nastąpi na publicznem posiedzeniu Akademii umiejętności w pierwszych dniach maja 1889; wypłata zaś w d. 8 tegoż miesiąca i roku, t. j. we dwa tygodnie po rocznicy urodzin S. B. Lindego. 8. Jeżeli nagrodzona zostanie praca już ogłoszona drukiem, natenczas autor przed otrzymaniem nagrody złoży w Akademii 50 egzemplarzy nagrodzonego dzieła. Pracę rękopiśmienną autor obowiązany jest ogłosić drukiem, najdalej w ciągu jednego roku i nadesłać Akademii 50 egzemplarzy, w przeciwnym razie Akademia sama uwieńczone dzieło wydrukuje i natenczas autor otrzyma 50 egzemplarzy.

Bibliografia polska. Piotr Chmielowski. *Adam Mickiewicz*. Zarys biograficzno-literacki. Kraków i Warszawa. 2 tomy.

— Józef Siemiradzki. *Z Warszawy do równika*. Wspomnienie z podróży, z ilustracyami. Warszawa.

— Jadwiga Z. *Gunilla*, poemat z czasów średniowiecznych.

Konkurencya. Warszawa obecnie sprowadza mąkę z Jelca, kaszę z Saratowa i Samary, baraninę z Orenburga i Rostowa, owies z Penzy itd., gdy tymczasem prasa bałamuci wciąż opinię publiczną konkurencyą... amerykańską.

Charakterystyczne. Rusini, wychowańcy t. z. *Narodnego Domu* uczęszczają nie do ruskiego, lecz do niemieckiego gimnazyum we Lwowie. Obecnie na posiedzeniu *Ruskiej rady* ks. Stefanowicz wnosił, ażeby dziwny ten porządek zmienić, został jednak przegłosowany a redaktor *Prołomu* p. Markow żądał nawet, żeby wniosku tego nie poddawać pod obrady.

Ludność Wrocławia według ostatniego spisu wynosi 298,000, Poznania 68,000 głów—nie licząc wojska.

Napływ wygnańców z Prus do Galicyi z dniem każdym wzrasta. Najwięcej przybywa obecnie górników ze Szląska, parobków, fornali, rzemieślników, którzy samoistnie prowadzili warsztaty i mieli przedłużony pobyt do 1 grudnia. Dotychczas znajdują oni jeszcze wszyscy zatrudnienie i wsparcie, co jednak będzie dalej, wobec tego, że napływ ten będzie trwał do 1 kwietnia, nie wiadomo?

Wniosek pp. Łubieńskiego i Wesołowskiego w sprawie obchodzenia przepisów celnych przez fabrykantów niemieckich Petersburskie Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu przyjęło jednogłośnie i postanowiło przesłać go władzom rządowym.

Dochód z akcyzy w r. bieżącym zmiejszył się znacznie w porównaniu z rokiem przeszłym i latami poprzedniemi.

Towarzystwo kredytowe miejskie, zebrawszy określony w ustawie kapitał zapasowy, postanowiło obniżyć procent od pożyczek o $^1/_2$%, t. j. zamiast 5 pobierać $4^1/_2$%.

Warszawscy niemcy, jak donosi *Petersb. Zeitung* zamierzają uroczyście obchodzić 25 lecie panowania cesarza Wilhelma. Przy tej sposobności ma być zebrany fundusz na kasy wsparcia dla niezamożnych niemców, którzy nie zdążyli jeszcze zebrać kapitałów.

Z Akademii Umiejętności. Na posiedzeniu wydziału historyczno-filologicznego ks. Polkowski odczytał wiadomość o niewydanym herbarzu rodzin polskich. Rękopis pochodzi z końca XVI, ale jest tylko kopią oryginału z XV wieku. Istnieją poważne wskazówki, że herbarz ten jest pracą Długosza.

Magazyny tranzytowe tutejsze przepełnione są cukrem, którego znajduje się na składzie z górą tysiąc wagonów; nowe transporty wciąż jeszcze przychodzą.

Zakłady górnicze w Królestwie, produkujące surowiec, obłożone zostaną podatkiem takim samym, jak podobne zakłady w Cesarstwie. Jednocześnie skarb sprzedaje kilkanaście rozmaitych kopalń i fabryk, będących jego własnością.

Nowy podatek. Ministeryum skarbu opracowało projekt opodatkowania gazu, nafty i świec.

Wyższa szkoła ogrodnictwa z początkiem roku przyszłego otwarta będzie w Petersburgu.

Z Włocławka uciekł znowu jakiś komisant z kilkudziesięcioma tysiącami rubli cudzych pieniędzy. Widocznie w mieście tem istniało całe gniazdo złodziejskie, obecnie aresztowano również w okolicy dzierżawcę majątku niejakiego O., u którego przez 10 dni ukrywał się Krzeczkowski.

Wykopaliska. W Bieczu przy kopaniu rowu natrafiono na starodawny cmentarz, z którego wydobyto kilkadziesiąt czaszek niezwykłych rozmiarów i w zupełnie dobrym stanie, mnóstwo kości ludzkich, pierścionki i inne przedmioty. Tuż obok ukazały się gruzy pochodzące prawdopodobnie z murów dawnego grodu.

Z historyi dziennikarstwa. W r. 1826 naliczył Balbi 3,168 wydawnictw peryodycznych na kuli ziemskiej. Po czterdziestu latach Gatin wykazał iż liczba dzienników wzrosła do 12,500. Obecnie zaś ilość wydawnictw peryodycznych dochodzi do 35,000.

Zmarli. Ksiądz F. Kasterski, pijar, autor i tłomacz kilku dzieł matematycznych.

— Korbaczew wice-konsul rosyjski w Lizbonie. Zmarły był rodem z Dynaburga i przetłomaczył kilka celniejszych utworów polskich na język portugalski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Zof. P. W tym przedmiocie *Prawda* odzywała się tyle razy i tak obszernie, że głos nowy w niej jest zbytecznym.

P. Zofii Gł. w Edw. Odmawiać pani od prenumeraty tego pisma nie możemy, zaznaczamy tylko, że kierunek jest inny a przytem niestały.

P. J. B. w Zawierciu. Zastrzeżono wyraźnie w ogłoszeniu, że prenumeratorom prowincyonalnym dzieła Prusa nie będą wysyłane tomami pojedynczymi, lecz całość.

P. Gustawowi. Osobnej rozprawy nie znamy; w książce Naimskiego o pojedynku znajdzie Pan osobny rozdział i temu przedmiotowi poświęcony. Psychologia w języku polskim żadna dobrą nie jest. Dzieło Wundta znakomite.

P. Róży F. Nie zużytkujemy.

---

rzystwa, z powodu zbliżającego się terminu ostatniego tegorocznego zakupu dzieł sztuki do rozlosowania pomiędzy członków Towarzystwa. Nadmienia przytem Komitet, iż według obowiązującego regulaminu, numera dowodów składkowych, za które należność nie zostanie wniesiona do kasy Towarzystwa przed losowaniem, do kół loteryjnych włożone nie będą. Losowanie odbędzie się w ostatnim dniu bieżącego grudnia.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, ma zaszczyt prosić pp. artystów malarzy, rzeźbiarzy i budowniczych, członków rzeczywistych Towarzystwa, w Warszawie zamieszkałych, do wzięcia udziału w wyborze z pomiędzy siebie delegatów wystawy dorocznej konkursowej.

Wiadomość o porządku uskutecznienia wyboru, jako też kartki do wotowania otrzymają zgłaszający się u Kustosza Wystawy Towarzystwa, gdzie głos swój jednocześnie złożyć mają. Wotowanie odbędzie się w dniach 16/28, 17/29 i 18/30 grudnia r. b. pomiędzy godzinami 1 i 3 po południu. Zaś w dniu 18/30 grudnia o godzinie 3-ej po południu wotowanie zostanie zamknięte, poczem nastąpi obliczenie głosów przez zaproszonych ad hoc skrutatorów.

LATARNIE CZARNOKSIĘSKIE
Maszynki elektryczne
i inne zabawki naukowe wyprzedaje
po cenie niżej kosztu
ZAKŁAD JAKÓBA PIK
ulica **Miodowa Nr. 2.**

BOLESŁAWA PRUSA
(Aleksandra Głowackiego)

SZKICE i OBRAZKI

tomów 4, z portretem autora

Tom pierwszy opuścił prasę i zawiera utwory następujące:

Nowy rok. — Żywy telegraf. — Na wakacyach. — Kocha nie kocha? — Katarynka. — W Górach. — Kamizelka. — Cienie. — Pominięty. — Przeklęte szczęście. — Przy księżycu. — Milknące głosy. — Stara bajka. — Pleśń świata.

Tomy następne wyjdą w bieżącym i przyszłym kwartale.

Po wyjściu drugiego tomu na początku przyszłego miesiąca prenumerata ustaje a cena cztorech tomów podniesioną będzie do **rs. pięciu.**

Przesyłający pieniądze **bezpośrednio** do kantoru Spółki kosztów porta pocztowego nie ponoszą.

Abonenci prowincyonalni otrzymają wszystkie tomy razem.

SPÓŁKA NAKŁADOWA.
Zielna 7-A.

Na Gwiazdkę!

„ŚWIATEŁKO"

KSIĄŻKA DLA DZIECI
napisana zbiorowo przez
Grono Autorów Polskich

najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekscie. **Cena rs. 1 kop. 80.**

J. Brandes
Główne prądy literatury XIX-go wieku.

Tom I, II i III po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2. Całe dzieło rs. 6 (z przesyłką pocztową).

SPÓŁKA NAKŁADOWA
zawiadamia, iż dzieło dr. Piotra Chmielowskiego

Autorki Polskie wieku XIX

studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, wyszło z druku i jest do nabycia w Administracyi Spółki Nakładowej (**Zielna 7-A.**) po rs. **2** kop. **50.**

SPÓŁKA NAKŁADOWA
poleca następujące wydawnictwa swoje:

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Światełko. książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzów polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekscie rs. 1 kop. 80

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorze **Spółki (Zielna 7-A)** kosztów przesyłki nie ponoszą.

---

12 arkuszy druku co miesiąc.

ATENEUM
PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

Przedpłata roczna **12** rubli
półrocz. **6**
kwartal. **3**

Adres Redakcyi:
w Warszawie,
Włodzimierska, 16.

Są do nabycia we wszystkich księgarniach, następujące dzieła wydane z zapomogi Kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego.

Birch-Hirschfeld. Wykład anatomii patolog. Część ogólna, przekład D-ra W. Mayzla, 1884. Rs 2.

Wierzbowski T. Krzysztofa Warszewickiego niewydane pisma, 1883. Rs. 2.
Tenże. Uchańsciana, 1885. 2 tomy, po rs. 3.

Korneliusa Neposa. Żywoty znakom. mężów. Przełożył A. Mierzyński, 1883. Kop. 80.

J. Szastecki. Gramatyka czeska, 1884. Rs. 1 kop. 20.

Rocznik pedagogiczny przez S. Dicksteina. Tom II. 1884. Rs. 2.

Danielewicz B. Z dziedziny statystyki matematycznej, 1884. Kop. 40.

K. Filipowicz. Wiadomości początkowe z botaniki, 1884. Rs. 1.

W. Szokalski. Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie, 1885. Rs. 3.

T. H. Huxley. Wykład biologii praktycznej. Przeł. A. Wrześniowski. Rs. 1.

J. D. Everett. Jednostki i stałe fizyczne. Przeł. J. J. Boguski. Rs. 1. 20 k.

Sprawozd. z piśm. nauk pols. w dziedz. nauk matem. i przyrodn. Rok I, 1883 i rok II, 1884 po rs. 1.

Na rzecz Kasy pomocy sprzedają się:

Wierzbowski T. Jakób Sobieski. Dyaryusz wyprawy wiedeńsk. Kop. 50.

Zieliński Dominik. O wekslach, 1884. Rs. 2 kop. 50.

W. K. Mapa dawnej słowiańszczyzny kop. 30.
Tenże. Tekst objaśniający kop. 30.

Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

Biblioteki filozoficznej wydawanej pod redakcyą prof. H. Struvego z zapomogi kasy Mianowskiego wyszedł tom pierwszy p. t.:

Kartezyusz. Rozmyślania nad zasadami filozofii, dowodzące istnienia Boga i różnicy pomiędzy duszą ludzką i ciałem. Przełożył z łacińskiego *Ignacy Karol Dworzaczek.* Cena kop. 70.

Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

Prace filologiczne wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego.

Tom I. Zeszyt I. Cena **1 rs. 50 kop.**

Z zapomogi Kasy Mianowskiego wyszedł nowy tomik, wydany pod redakcyą prof. H. Struvego p. t.:

PLATON
OBRONA SOKRATESA

przełożył z greckiego i objaśnienie dodał *Adam Maszewski.* Cena 40 kop.

Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

Nakładem Prawdy
wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena rs. 1. (wraz z przesyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Декабря 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.